LIBERTÉ!

numer 57/kwiecień 2021

ETYCZNY WIR

MAGDALENA M. BARAN ° OLGA BRZEZIŃSKA ° BŁAŻEJ LENKOWSKI ° BEATA KRAWIEC
ALICJA MYŚLIWIEC ° MAGDALENA M. KAJ ° ANNELIESE MISTEL ° JAROSŁAW GUGAŁA
TOMASZ KASPROWICZ ° JAROSŁAW MAKOWSKI ° PIOTR BENIUSZYS ° TOMASZ MIELCAREK

MAGDALENA M. BARAN
Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

WIELKI WIR

Photo by Oriol Portell on Unsplash

Myślę, że człowiek zachowuje się przyzwoicie, jeżeli wyciąga rękę do drugiego, jeżeli jest skłonny nie tyko mu nie zaszkodzić, ale w jakiś sposób pomóc.
Barbara Skarga

Nieco ponad rok. Odliczaliśmy dni do kolejnych otwarć. Przeliczamy dni od momentu ostatniego zamknięcia. Coś weryfikujemy. Przemyśliwamy. Wściekamy się, martwimy, dajemy czemuś/komuś szansę. Odkrywamy zapomniane pasje, wracamy do przeszłości, albo… popadamy w stagnację. Robi się letnio. Oszukujemy się. Oszukujemy innych, tłumacząc to sobie ideą wielkiego dobra, w którego kostium przebiera się nieraz bardzo perfidne zło. Brukujemy nasze piekła najlepszymi intencjami, bo tak… wydaje się prościej. Albo inaczej, szukamy w sobie – zryw za zrywem – kolejnych pokładów sił, by nie poddać się w naszych tęsknotach, marzeniach, w ściganiu się z codziennością, w której zakwestionowane zostają niemal wszelkie pewności. Łapiemy dystans. Uczymy się na nowo śmiać – czasem wychodzi po prostu bardziej szczerze. Coś staje się dla nas cenne. Ktoś okazuje się dla nas ważny. Na coś mamy ochotę, szansę, nadzieję. W dobrych chwilach wybiegamy w przyszłość. Otwieramy katalog marzeń i planów, otwieramy ramiona, by przegarnąć to, co niesie życie. A niesie mnóstwo, może więcej niż się spodziewamy, niż byśmy chcieli. Własny świat na wyciągnięcie ręki. Najtrudniej bywa… sięgnąć. Szczególnie teraz, gdy żyje się jakby na pograniczu hibernacji. Ta zaś nie dotyczy tylko tego, co najbardziej prywatne, ale przekracza nasze osobiste rejony. Stawia nas pośród innych ludzi. Stawia nas – jako wspólnotę – wobec domagających się rozwiązań problemów. Tymczasem tu, gdzie chciałoby się mieć pewność… pewności brak.

Czas pandemii wyznaczył nam osobność. Chciałoby się rzec, że zawirował świat, że oto oglądamy nowe ustawienie, jeśli nie piękne, to przynajmniej ciekawe. Jak to w kalejdoskopie. Ale nie, ów wir póki co ani myśli nas wypuszczać. Radośnie w nim nie jest. Są nerwy, obawy. Co więcej, nasze prywatne „zawirowania” – niejako z konieczności – zazębiają się z tym, co publiczne. Bo oto przenikanie się owych sfer, kontestowana przez niektórych, a przecież narzucająca się z siłą oczywistości, zależność, jest nie do uniknięcia. To już nie tylko rzucone pod nosem „Polityka i tak do ciebie przyjdzie/państwo się o ciebie upomni”, ale codzienność, w której decyzje dotyczą każdego z nas. I jasne, świetnie by było powiedzieć, iż znajdujemy w nich faktyczne wparcie. Że widać w nich konkretny plan. Że ktoś się o nas, jako wspólnotę, troszczy. Tymczasem czas osobności zdaje się raz za razem mówić „Sprawdzam” tym wartościom, których respektowania każdy obywatel (nie tylko w czasie kryzysu) ma prawo domagać się od stojących u steru państwa.

Katalog byłby długi. Odpowiedzialność, uczciwość, szacunek, prawdomówność, solidarność, prawość roztropność… Tak na początek. Żadnej nie trzeba szerzej „przedstawiać”. Rzecz w tym, że czas pandemii, miast realizacji wartości, które miały szansę stać się kołem ratunkowym dla obywateli, przyniósł nawet nie wykrzywienie ich obrazu, ale wręcz rozkwit rujnujących sferę publiczną i zaufanie do świata polityki wad. Od czego zacząć? Kandydatów jest wielu. Kłamstwo – na porządku dziennym; zawiść – w menu politycznym; fanatyzm – propagowany na każdym kroku, bo przecież nic tak nie pomaga władzy jak bezkrytyczna wiara mas w zasadność pewnych idei. Dalej chciwość – tak w dziedzinie władzy, jak i posiadania – działająca już niczym *perpetuum mobile;* wszak (za Seneką) „ludzie stają się chciwi wskutek zbytniego powodzenia” (a już szczególnie gdy wszelkiego rodzaju wybryki raz po raz uchodzą im na sucho). Na jej obrzeżach urodzone bezprawie, co „pozwala” brać więcej i więcej. Rujnować z obrzydliwą wręcz cierpliwością, z nieukrywanym już cynicznym uśmiechem. Tak dzieje się (jak w kolei sądził Platon) wtedy, „gdy albo prawa są złe, albo się ich nie słucha, albo ich w ogóle nie ma”. Brzmi znajomo, szczególnie gdy w miejsca słówka „albo” pojawia się niepokojąca, wiodąca drogą ku pełzającej tyranii, koniunkcja.

Jest jeszcze kilka, ale… bodaj najgorsza zdaje się pogarda. Nietzsche pisał, iż „niedwuznaczną oznaką pogardzania ludźmi jest to, że każdego ceni się tylko jako środek do samego celu, lub zgoła nie cel”… Ludzkie narzędzia pandemicznej retoryki władzy… Gorzej niż odwrócony imperatyw Kanta. Boleśnie to prawdziwe, gdy władza gardzi obywatelami, gdy wprost szuka „pożytecznych idiotów”, gdy z nikim się nie liczy, a każdego ma za nic. Jest lekceważenie. Jest szyderstwo. Jest zniewaga. Jest bezczelność. Jest arogancja. Jest cynizm. Dotykają każdego z nas. Wszystkie komponenty pogardy zachowane, obecne w codziennej narracji; w politycznym przekazie, w sali budynku Trybunału Konstytucyjnego, na sali sejmowej, na ulicach. Przenoszące się ze świata wspólnego w relacje osobiste, domowe, w te światy, których sami dla siebie chcielibyśmy strzec. Tymczasem pogarda przenosi się jak zaraza i… dzieli. Jakże lepiej by było wołać o przyzwoitość, tę, w której „nie szukamy przejawu dobra czy zła, ale społecznego odruchu”. Dziś jeszcze lepiej wiemy, jak bardzo jest to nam potrzebne.

Photo by Jeremy Perkins on Unsplash

6 • **ETYKA NOŻA**
Jarosław Gugała

ETYCZNY WIR

10 • **KLASA WARTOŚCI**
Olga Brzezińska

16 • **POLITYCZNE TRANSFERY: PROSTYTUCJA CZY PRAWO POLITYKA?**
Błażej Lenkowski

22 • **POMIĘDZY ETYKĄ BIZNESU A KULTURĄ KORPORACYJNĄ**
Tomasz Kasprowicz

30 • ***SCHADENFREUDE*-19**
Piotr Beniuszys

38 • **N-ETYKA**
Magdalena M. Kaj

SPOŁECZEŃSTWO JUTRA

44 • **PANDEMIA: UCIECZKA Z WIELKICH MIAST. CZY KLASA ŚREDNIA ZMIENI OBLICZE POLSKICH WSI I MIASTECZEK?** *Jarosław Makowski*

60 • **CZY KAŻDY MUSI BYĆ WYKSZTAŁCONY?**
Anneliese Mistel

ZIELONY LIBERALIZM

68 • ***WHO ARE YOU WEARING TODAY?***
Beata Krawiec

LEKTURY LIBERAŁA

74 • ***WYBÓR SUBIEKTYWNY. CZY LIBERALNĄ DEMOKRACJĘ „KSIĄŻKOWO" DA SIĘ OCALIĆ?*** *Magdalena M. Baran*

HOKUS-POKUS

84 • **MAGIA NA MIARĘ ERY WODNIKA**
Alicja Myśliwiec

90 • PRALIBERAŁ MIESIĄCA
Karl von Stremayr

96 • CO W TTRAWIE PISZCZY
Piotr Beniuszys

WIERSZ WOLNY

100 • **[WIATR ZAMIENIŁ CZAS W ŻAGIEL]**
Tomasz Mielcarek

Photo by Todd Quackenbush on Unsplash

ETYKA NOŻA

JAROSŁAW GUGAŁA

Lubię gotować i tworzyć niecodzienne, inspirowane kuchniami świata potrawy. Do ich przygotowywania potrzebne są rozmaite narzędzia i urządzenia. Dzisiejszy świat oferuje ich mnóstwo, ale wciąż najważniejszym i podstawowym jest… nóż. Przez dziesięciolecia moich kulinarnych doświadczeń używałem już zapewne kilkunastu rozmaitych noży. Niektóre mam do dziś, jednak większości już się pozbyłem, czyli zużyłem, wyrzuciłem, oddałem komuś, zgubiłem itp. Niedawno uświadomiłem sobie, że musiałem wydać na nie sporą sumę, za którą mógłbym wejść w posiadanie wspaniałego uniwersalnego noża na całe życie. Mało tego, mógłbym kupić taki, który po mnie mógłby przejąć mój syn, a po nim któreś z jego dzieci. Gdybym zrobił to u zarania dorosłego życia, nie zanieczyściłbym świata kilkunastoma zbędnymi przedmiotami zawierającym nierozkładalne w naturalnym środowisku tworzywa sztuczne, z których robi się rękojeści tanich noży. Na dodatek oszczędziłbym światu wielu zanieczyszczeń, do których doszło w procesie ich wyprodukowania. Są one niezaprzeczalnym faktem, nawet jeśli trudno oszacować ich skalę.

Od dnia, w którym przyszedłem na świat w Polsce urodziło się około 25 milionów ludzi. Każdy z nich zamiast jednego dobrego noża używał kilku albo kilkunastu słabych albo przeciętnych. Większość z nich wylądowała gdzieś na wysypisku albo wśród nieużywanych, niepotrzebnych rupieci. Jeśli przyjmiemy, że każdy Polak „zużył" w tym czasie pięć noży – to musimy się zgodzić, że wyrzuciliśmy ich w tym czasie około stu milionów. Nikt nie wie, jak wygląda zebrane w jednym miejscu sto milionów kiepskich noży z rękojeściami z tanich materiałów. Trudno sobie to nawet wyobrazić. Nie można sobie również wyobrazić ilości trujących substancji wyemitowanych w czasie ich produkcji do atmosfery oraz fabrycznych odpadów, które wylądowały z tego powodu na wysypiskach. Patrząc na ekonomiczno-społeczny aspekt wytwarzania noży – my, ludzie, nie wiemy, bo nie policzyliśmy tego, ile rodzin utrzymało się z produkcji tanich, wytwarzanych seryjnie noży, a ile utrzymałoby się z rzemieślniczej sztuki kucia mistrzowskich egzemplarzy? Górę nad efektem ekologicznym i społecznym wziął zysk właścicieli fabryk noży, które zalewają nasz

Photo by Oriol Portell on Unsplash

świat swoją „tanią”, choć suma summarum wcale nie tańszą niż rzemieślnicza, produkcją.

W naszym świecie większego dochodu można się spodziewać ze śmieciowej produkcji noży niż z mistrzowskiej sztuki kowalskiej. Tymczasem intuicja mówi mi, że ten dochód jest dzielony bardzo niesprawiedliwie i jest obarczony kosztami społecznymi i ekologicznymi, które są rozkładane na wszystkich. Właściciel fabryki noży, czerpiący z tej produkcji największy zysk, ponosi takie same indywidualne koszty zanieczyszczeń, jak zwykli pracownicy jego zakładu i użytkownicy jego produktów. Czy to jest etyczne, żeby wszyscy ponosili równy koszt, a zysk kumulował jeden? Dobre pytanie! Czy gdyby zamiast kilku fabryk ich produkcją zajmowało się tysiące mistrzów kowalstwa, ekologiczne i społeczne koszty byłyby niższe i sprawiedliwiej rozłożone? Nie ma nauki, która zajmowałaby się liczeniem tego typu kwestii. Żaden człowiek czy przedsiębiorca nie ma bowiem bezpośredniego interesu, żeby to liczyć. Jednak ludzkość powinna tego typu rachunki prowadzić, bo skutki obecnych zasad gospodarowania i bezwzględnej pogoni za zyskiem, doprowadziły nas wszystkich na skraj globalnej katastrofy. Tymczasem pogoń za zyskiem trwa w najlepsze, bo pieniądz jest silniejszy niż etyka, a ludzkość dzieli się nierówno zyskami i kosztami.

W Polsce nie ma już nikogo, ani fabryki, ani kowala, którzy byliby w stanie wytworzyć nóż o parametrach, których potrzebuję. To znaczy o twardości większej niż 60 HRC. Mało tego, takiej twardości nie jest w stanie wytworzyć dziś żadna europejska fabryka. Klingi o twardości większej niż 59 HRC Europejczycy zamawiają na ogół w Japonii, gdzie przetrwało tradycyjne kowalskie rękodzieło na mistrzowskim poziomie oraz hutnictwo, będące w stanie wytwarzać stal o pożądanych cechach i parametrach. Będąc osobą wrażliwą społecznie i patriotyczną, wolałbym kupić wspaniały polski nóż na pokolenia, ale niestety nie mam takiej możliwości. Mogę kupić nasze wytwarzane fabrycznie noże z niezłej stali, ale nie spełniają one moich wymagań i daleko im do parametrów wymaganych przez dobrych kucharzy. Mój patriotyzm więc w tej dziedzinie nie ma szans na realizację...

Czy postąpię nieetycznie kupując japoński kuty nóż lub wyrób europejskiej marki wytworzony w Japonii? Nikt nie myśli dziś w tych kategoriach. Wszyscy uznaliśmy, że nie ma dziś żadnych urządzeń ani narzędzi wytworzonych przez jedną tylko tradycję czy konkretnych ludzi. Nawet tak prosty przedmiot jak nóż, może być składową materiałów i technologii pochodzących z wielu różnych źródeł. W czasie marketingowej obróbki jego sprzedaży - ten produkt zostaje pozbawiony swoich korzeni i zupełnie odczłowieczony, tak jakby nie był dziełem człowieka, lecz anonimowych urządzeń.

A ja szukam noża, który jest dziełem konkretnego człowieka, którego można zobaczyć, odwiedzić w jego zakładzie, poczytać o jego losach, tradycji jego rzemiosła, jego słynnych konkurentach, pochodzeniu i składzie stali na brzeszczoty jego noży; powodów dla których wybrał taki a nie inny materiał na rękojeść oraz dla których nadał swojemu dziełu taki a nie inny kształt. Szukam noża, który będzie miał kształt zbliżony do wypracowanego przez mistrza ideału, ale będzie jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny. Będzie miał unikatowe ślady kucia inne niż każdy inny tego typu nóż tego samego wytwórcy.

Oczywiście dziś trudno znaleźć prawdziwy wykuty własnoręcznie przez japońskiego mistrza nóż ze stali, której skład i sposób wytwarzania jest rodzinną tajemnicą. Kosztowałby zapewne majątek. Każdy nawet sygnowany przez jednego ze słynnych japońskich mistrzów - nóż jest dziś w mniejszym lub większym stopniu wytworem nowoczesnej – z natury anonimowej – technologii. Byłoby więc nieetyczne przedstawiać taki przedmiot jako ręcznie wykonane dzieło. Jednak Japończycy uważają, że byłoby nieetyczne odbierać autorstwo i zasługi wielkim mistrzom. Budują marketingowe instrumenty wspierające ich legendę, bo wiedzą, jak bardzo szkodliwe są góry wytwarzanych fabrycznie anonimowych śmieci. W ich pragmatyzmie jest etyka, szacunek dla tradycji i osiągnięć ich ludzi. To się może udzielać...

Wiara w zwycięstwo dobra zaklętego w mistrzowskich dziełach jest widoczna w mitach samurajskich mieczy. W komercyjnej superprodukcji „Kill Bill”, bohaterka pokonuje zło, bo ma do dyspozycji miecz wykuty przez słynnego prawego mistrza. Etyka w służbie dobra jest niezwyciężona, choć wydaje się być skazana na porażkę w konfrontacji z przeważającymi siłami zła. Widzimy na tym przykładzie, że nawet coś tak nieetycznego, jak komercyjne kino, którego głównym celem jest zysk, zawiera etyczne przesłanie. Czy równoważy ono szkody, które powoduje w postaci odmóżdżenia widzów – to kolejny dobry temat do rozważań... A może etycznym wkładem komercyjnego kina akcji jest zaspokojenie krwiożerczych potrzeb ludzi? Może dzięki temu, że się napatrzą w filmie na setki obciętych głów i kończyn, sami nie będą już mieli ochoty, żeby zadawać innym śmierć i ich okaleczać? Więc może brutalne, ociekające krwią sceny mają swój etyczny ładunek, bo zamieniają groźbę prawdziwej masakry w chęć oglądania absurdalnych scen tylko na ekranie? Może to skuteczny sposób na rozładowywanie kumulowanych w ludziach złych emocji?

Z drugiej strony jednak, to może być również rozniecanie morderczych instynktów. Zwłaszcza wśród ludzi o niskiej świadomości, ograniczonych horyzontach i niedostatecznym poziomie dojrzałości emocjonalnej. Czy jesteśmy w stanie, posługując się instrumentarium etyki, sensownie rozstrzygać tego typu dylematy? Czy to etyka powoduje, że noży, których używamy do krojenia żywności, nie bylibyśmy w stanie używać dalej, gdyby międzyczasie posłużyły w do popełnienia zbrodni? Co powoduje, że patrząc na ostry jak brzytwa nóż myślimy o tym, jak precyzyjnie można nim kroić miękkie pomidory, a nie o tym, jak wchodzi w czyjeś ciało?

Od dawna jesteśmy globalną wioską. Jakże pięknie brzmi po polsku ten McLuhanowski termin! Jednak język polski z łatwością może zmieniać wydźwięk takich terminów. „Wioska” sugeruje sielskość, czyste powietrze, proste relacje między jej mieszkańcami, zwykłą ludzką perspektywę i skalę zjawisk. A tego w dzisiejszym świecie jak na lekarstwo. To w czym żyjemy, powinniśmy raczej nazywać „prowincjonalną totalną wiochą...” Tanie przeludnione blokowiska, konstruowane z odpadków favele, zatrute i zaśmiecone środowisko, brutalność w relacjach społecznych, bezwzględny wyzysk, kumulacja bogactw, zatrute powietrze, globalna katastrofa klimatyczna o fatalnych skutkach dla całej ludzkości, miliardy ton śmieci na wysypiskach i w oceanach, itp. itd. Do tego właśnie doprowadza nas brak codziennej refleksji na temat „etyki noża”.

KLASA WARTOŚCI

OLGA BRZEZIŃSKA

Jesteście moim rodzonym rodzeństwem umarli.
Nigdy o Was nie zapomnę.
Jesteście moimi mistrzami, umarli.
Nie zapomnijcie o mnie
Adam Zagajewski

„Spójrzmy, oto odeszło pokolenie znakomitych poetów” – tym zdaniem rozpoczyna się esej Adama Zagajewskiego „Odeszli wielcy poeci” w zbiorze *Substancja nieuporządkowana*. Wspomina w nim Czesława Miłosza, Zbigniewa Herbeta, Wisławę Szymborską, Tadeusza Różewicza, Aleksandra Wata, Josifa Brodskiego, Seamusa Heaneya, Tomasa Transtromera, Larsa Gustaffsona i C.K. Williamsa – z wdzięcznością za to, że pomogli przeżyć i zrozumieć straszliwe wydarzenia XX wieku i złagodzić ciosy, jakie spadły na zwykłych ludzi. Z wdzięcznością za rolę, jaką odegrali w indywidualnym doświadczeniu czytelników i miejsce, jakie zajmowali w przestrzeni publicznej. Można powtórzyć za Czesławem Miłoszem, „Szczęśliwy naród który ma poetę / I w trudach swoich nie kroczy w milczeniu”, ale tak samo szczęśliwy jest każdy indywidualny czytelnik, który w akcie intymnej lektury odnajduje odpowiedzi, wskazówki, inspiracje. I choć „Nietrudno zauważyć, że jesteśmy w momencie mało sprzyjającym poezji. Poezja jest niemodna, modne są grube powieści kryminalne, biografie tyranów, amerykańskie filmy i brytyjskie seriale telewizyjne. (...) Modne są relacje, niemodna jest substancja”, głos Adama Zagajewskiego był ważny i słyszany w debacie publicznej.

„Trudno mierzyć wysokość płomienia przy pomocy szkolnej linijki”

W Światowym Dniu Poezji, 21 marca, Adam Zagajewski dołączył do swoich mistrzów i przyjaciół, pozostawiając po sobie trudną do wypełnienia pustkę. Miał rzesze wiernych czytelników, ale także liczne grono krytyków, których mierził „wysoki styl”, erudycja, być może również jego sukces. Bez wątpienia był najbardziej rozpoznawalną twarzą współczesnej polskiej poezji za granicą, a potwierdza to nie tylko imponująca lista niemal wszystkich najważniejszych międzynarodowych nagród literackich (Heinricha Manna, Neustadt, Griffin Prize, Nagroda Księżnej Asturii), ale i niezliczone wydania jego poezji tłumaczonej na niemal wszystkie naczelne języki świata. Jego wiersz „Spróbuj opiewać okaleczony świat”, przedrukowany po zamachach na World Trade Center w 2001 roku w „The New Yorker”, stał się źródłem natchnienia i otuchy dla milionów Amerykanów, w jednym z najtrudniejszych momentów w najnowszej historii Stanów Zjednoczonych.

Analizy krytyczno-literackie, naukowe refleksje, zmagania z interpretacją, recepcją i rezonansem twórczości Zagajewskiego w kraju i na

Photo by Kelly Sikkema on Unsplash

świecie pozostawmy ekspertom w dziedzinie. Ja mogę jedynie występować w roli czytelniczki, dla której jego słowo jest przewodnikiem po intelektualnym świecie, źródłem poruszenia i inspiracją do własnych poszukiwań. I choć w świecie, który ucieka od metafor („po co nam metafory, to towar luksusowy, to czekolada umysłu, a nie jego chleb z masłem") i gdzie „*non-fiction* wygrała z *fiction*", publiczne przyznawanie się do wzruszenia czy zachwytu poezją jest traktowane jako wstydliwe i staroświeckie, to przecież zdarza się, bywa, jest. Skąd się bierze zachwyt, kiedy wiersz porusza, co pozostawia w nas poezja, trudno zamknąć w definicji. Sam Zagajewski pisał: „Lekka przesada – to właściwie bardzo dobra definicja poezji. Doskonała definicja poezji na dni chłodne i mgliste, dni, kiedy poranek wstaje późno i na próżno obiecuje obecność słońca. Jest lekką przesadą póki się w niej nie zadomowimy. Wtedy staje się prawdą. A potem, kiedy ponownie z niej wyjdziemy – bo nikt nie potrafi w niej zamieszkać na stałe – znowu staje się lekką przesadą." Bez przesady jednak i z całą powagą mówił o istocie wiersza, który „jest jak twarz ludzka – jest jednocześnie przedmiotem, dającym się zmierzyć, opisać, skatalogować, i apelem. Apelu można wysłuchać albo można go zignorować, lecz trudno ograniczyć się do mierzenia go metrem. Trudno mierzyć wysokość płomienia przy pomocy szkolnej linijki".

Zagajewski w swoich wierszach i esejach upominał się o sprawy pierwsze, najważniejsze,

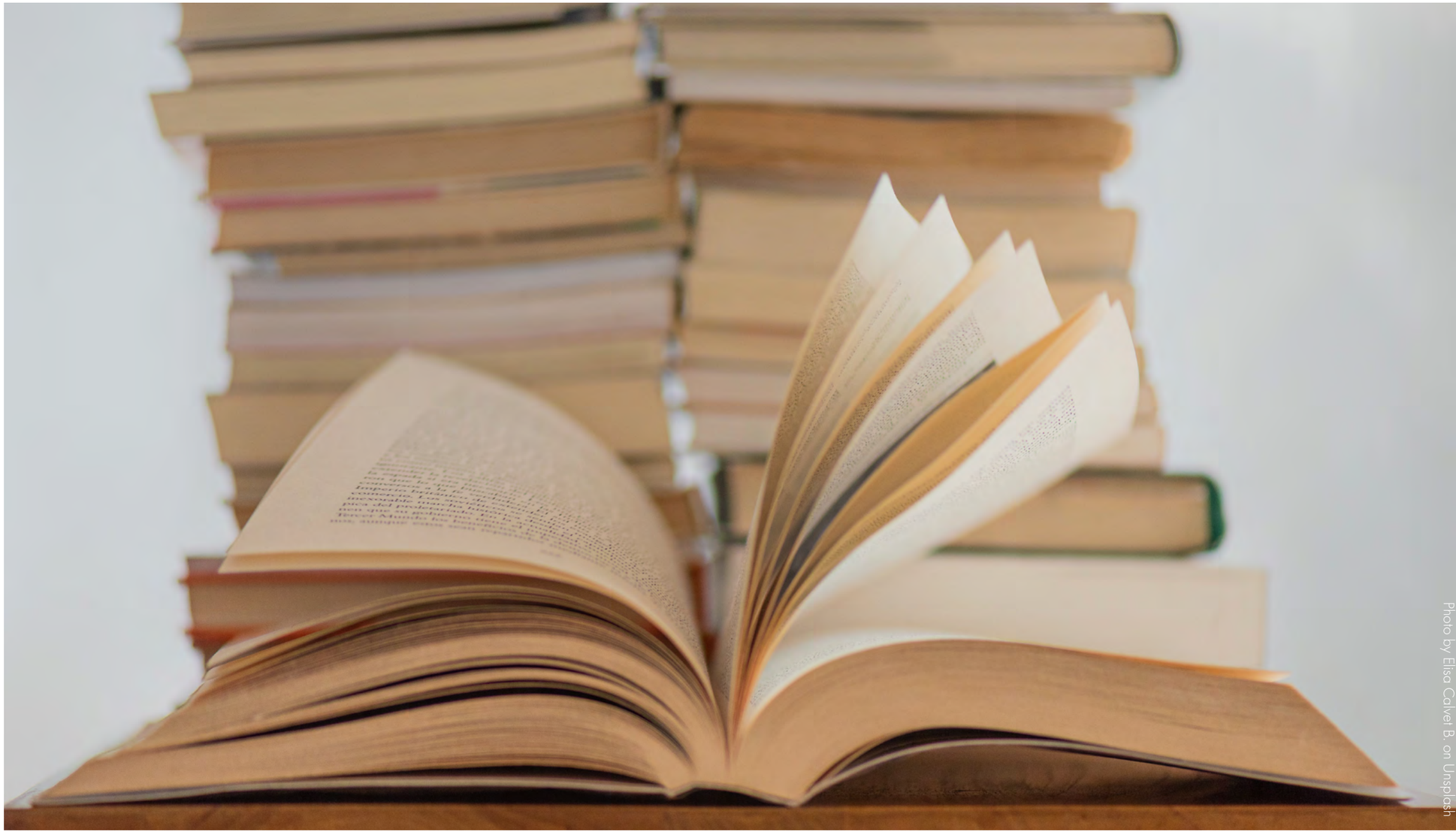

Photo by Elisa Calvet B. on Unsplash

uniwersalne, tworząc przeciwwagę dla bełkotu i gwałtowności świata, jednocześnie niczego od czytelników nie żądając: „zastanawiam się tylko, co zrobić, by wielkie tchnienie literatury, towarzyszącej nam w miłości, w rozpaczy i radości, przygotowującej do śmierci (chociaż tu żadne przygotowanie nie pomoże), ratującej przed nudą, by to tchnienie uratować od wygaśnięcia". Jego głos był ważny i potrzebny, w obliczu zalewających nas kłamstw, półprawd, propagandy, *fake news* – buntował się przeciwko jałowości, krzykliwości, miałkości i przypominał, że „w każdej zbiorowości, której nie zdominowali jeszcze analfabeci, toczy się także inna rozmowa, dużo spokojniejsza, cichsza, przyciągająca mniej uwagi, ale niekoniecznie mniej istotna: o Bogu, o sensie życia, o sztuce, o literaturze, o muzyce, o naturze cywilizacji, o związku między nowoczesnością i tradycją, o śmierci". Jeżeli wiersz jest apelem, jak sam pisał, to Zagajewski apelował już w wierszu „Prawda" ze swojego debiutanckiego tomu: „zaczerpnij najgłębsze warstwy powietrza/i powoli pamiętając o regułach składni/powiedz prawdę do tego służysz w lewej ręce/trzymasz miłość a w prawej nienawiść". Ten apel, z czasów „wielkiego głodu prawdy", lat 70. XX wieku, dzisiaj czytany jest nadal boleśnie aktualny. W swojej ostatniej książce eseistycznej Zagajewski nadal mówi o prawdzie, z troską opowiadając o wolności i odwadze – kruchych wartościach, które tak łatwo utracić: „Żeby bowiem żyć w wolności, trzeba żyć w prawdzie. Prawda jest tam, gdzie jest odwaga, odwaga widzenia i wypowiedzi. Tam, gdzie jest odwaga uniwersalizmu, a nie tam, gdzie znajduje się zwierciadło dowolnie rozumianej historii (...) Życiu w prawdzie zagrażają niezliczone niebezpieczeństwa, nie jest ono ani łatwe, ani przyjemne. Już dość trudno sobie wytrwać w prawdzie w egzystencji prywatnej, osobistej, gdzie desperacko próbujemy chronić nasze niedoskonałości, a co dopiero, gdy chodzi o zbiorowość, o całe społeczeństwo, które przecież jest bytem jednocześnie realnym i abstrakcyjnym. (...) Wolność dotyczy nas w naszym życiu prywatnym, ale możemy ją stracić w życiu zbiorowym, gdy pojawi się mały przywódca o wielkich ambicjach, gdy znowu zobaczymy fałszywego mesjasza". Będąc uważnym obserwatorem życia zbiorowego w kraju, sam był w nim wyraźnie obecny, zaangażowany, stając się wręcz, jak ujął to Krzysztof Siwczyk, moralnym recenzentem przemian transformacyjnych.

„Wolność dotyczy nas w naszym życiu prywatnym, ale możemy ją stracić w życiu zbiorowym, gdy pojawi się mały przywódca o wielkich ambicjach, gdy znowu zobaczymy fałszywego mesjasza"

O swoich poetyckich patronach i przyjaciołach, Zagajewski mówił: „Nie zmienili losów świata, nie leżało to w ich mocy, lecz potrafili złagodzić ciosy, jakie spadły na zwykłych ludzi" i on sam podobnie – pomagał czytelnikowi oswoić i zrozumieć świat, który „jest podwójny, podzielony, zarazem wspaniały i trywialny, ciężki i lotny, bohaterski i tchórzliwy". Żył w prawdzie widzenia i wypowiedzi – widział i opisywał świat w jego grozie i pięknie, w jego mroku i blasku, w wysokim tonie i szlachetnej prostocie, pozostając jednak bliskim i przystępnym: „Gdybym był filozofem, napisałbym rozprawę o uśmiechu – o tym, jak zmienia twarz kobiety czy mężczyzny, jak sprawia, że twarde rysy twarzy kogoś nieuważnego, nieobecnego, wycofanego, niekiedy może pełnego niechęci, albo po prostu głęboko obojętnego, zmęczonego, zdeprymowanego, nagle miękną i ślą do innych sygnał mówiący: jestem człowiekiem, nie jestem taki zły. Może nawet mówi coś więcej: jestem wolny".

Cytaty pochodzą z książek Adama Zagajewskiego: *Dwa miasta* (1991), *Lekka przesada* (2011), *Poezja dla początkujących* (2017), *Substancja nieuporządkowana* (2019). ●

OLGA BRZEZIŃSKA

Menedżerka i promotorka kultury, prezeska Fundacji Miasto Literatury, dyrektor programowa Festiwalu Miłosza i Dni Tranströmerowskich. Absolwentka UJ, SGHi Leadership Academy for Poland. Pomysłodawczyni, współtwórczyni i producentka wydarzeń literackich, muzycznych, teatralnych oraz programów edukacyjnych. Laureatka Stypendium Twórczego Miasta Krakowa (2018).

POLITYCZNE TRANSFERY: PROSTYTUCJA CZY PRAWO POLITYKA?

BŁAŻEJ LENKOWSKI

Czy polityczny „hunting" jest dla polujących wizerunkowo opłacalny? Szczególnie ostra fala oburzenia pojawiła się po ostatnim transferze posłanki Moniki Pawłowskiej, która przeniosła się z Lewicy do partii Jarosława Gowina. W tym przypadku rzeczywiście oburzenia trudno nie kryć, jednak racjonalnym jest nie wrzucać wszystkich transferów do jednego worka.

W ostatnich miesiącach byliśmy świadkami kilku głośnych transferów międzypartyjnych. Być może świadczy to o nadchodzącym trzęsieniu ziemi na naszej scenie politycznej, a być może jest jedynie efektem takiej lub innej kalkulacji konkretnych polityków. Czy polityczny „hunting" jest dla polujących wizerunkowo opłacalny? Szczególnie ostra fala oburzenia pojawiła się po ostatnim transferze posłanki Moniki Pawłowskiej, która przeniosła się z Lewicy do partii Jarosława Gowina. W tym przypadku rzeczywiście oburzenia trudno nie kryć, jednak racjonalnym jest nie wrzucać wszystkich transferów do jednego worka.

„Żenada, brak etyki i jakiegokolwiek kręgosłupa moralnego" – tak odruchowo skomentowałem na portalu społecznościowym przejście Moniki Pawłowskiej do Porozumienia Gowina. Ten transfer na przeciwległą stronę zasadniczego politycznego sporu trudno jakkolwiek umotywować programowo, nawet jeśli teoretycznie Porozumienie grupuje najrozsądniejszych polityków Zjednoczonej Prawicy. Gowin i jego ludzie, jak dotąd, nie przeszli na drugą stronę barykady, od lat wspierają i głosują za bulwersującymi rozwiązaniami niszczącymi polski system demokracji liberalnej oraz wspierają światopoglądowe idee niezwykle odległe od ideałów lewicy. Zwolenników idei społeczeństwa otwartego oraz świeckiego państwa bliskiego lewicy i liberałom, trudno naprawdę odnaleźć w szereg partii tworzących Zjednoczoną Prawicę. Trudno też zrozumieć tę woltę w kategoriach poglądów ekonomicznych. Monika Pawłowska od lat zasiadała w szeregach partii lewicowych o programie zdecydowanie socjalnym. Gowin deklaruje się jako ekonomiczny liberał, choć głosował za wszystkimi etatystycznymi rozwiązaniami wprowadzonymi przez rząd PiS. Jakie rozwiązania w dziedzinie polityki gospodarczej chciałaby wspierać posłanka Pawłowska, wstępując w szeregi Porozumienia? Z Gowinem w ramach pragmatyki politycznej rozmawiać należy, ale tylko jeśli zdecydowałby się opuścić szeregi obozu Jarosława Kaczyńskiego.

Z Gowinem w ramach pragmatyki politycznej rozmawiać należy, ale tylko jeśli zdecydowałby się opuścić szeregi obozu Jarosława Kaczyńskiego

Jak zatem uzasadnić transfer osoby od lat związanej z Lewicą do partii Zjednoczonej Prawicy? Oczywiście wprost merkantylnie

i emocjonalnie. Nie przekonują mnie też sugestie Leszka Millera, jakoby wina leżała po stronie źle zarządzających pozostałościami Wiosny: Roberta Biedronia i Krzysztofa Śmiszka. Być może ich nieumiejętność porozumienia i budowania struktury jest faktem, ale naprawdę nawet w sytuacji konfliktowej nic nie usprawiedliwia przejścia na drugą stronę barykady w taki sposób, przy takich podziałach oraz w takiej sytuacji w kraju, nic nie usprawiedliwia tego rodzaju zdrady swoich wyborców.

Przykładem jeszcze gorszego zachowania, czegoś czego nie waham się nazwać wprost polityczną prostytucją, był transfer Wojciecha Kałuży z Nowoczesnej do PiS. „Wojciech Kałuża w wyborach samorządowych w 2018 roku uzyskał mandat radnego sejmiku śląskiego. Jako „jedynka" okręgowej listy Koalicji Obywatelskiej zdobył 25 109 głosów. Podczas pierwszej sesji sejmiku zawarł porozumienie z Prawem i Sprawiedliwością, które skutkowało przejęciem przez PiS władzy w woj. śląskim. Sam Wojciech Kałuża wybrany został na stanowisko wicemarszałka, opuścił Nowoczesną i został formalnie radnym niezrzeszonym"[1]. Trudno wyobrazić sobie dokonanie takiej zdrady wobec własnych kolegów i własnych wyborców, w zasadzie w dzień po otrzymaniu mandatu, w zamian za intratne stanowisko od głównego politycznego rywala. To nie jest nawet cynizm, to jest brak jakichkolwiek zasad. To, że Kaczyński jego gotowy korzystać z usług takich ludzi, świadczy również gorzej niż źle o jego własnych standardach. Tego typu polityk albo nie ma żadnej przyszłości, albo będzie musiał stać się ślepym żołnierzem i wykonawcą najgorszego typu zadań, które zleci mu jego polityczny właściciel.

Trudno wyobrazić sobie dokonanie takiej zdrady wobec własnych kolegów i własnych wyborców, w zasadzie w dzień po otrzymaniu mandatu, w zamian za intratne stanowisko od głównego politycznego rywala

Oba te przypadki zmuszają do poważnego zastanowienia nad jakością, etyką i poziomem ludzi, z których liderzy opozycji chcą budować swoje struktury, niezależnego od tego czy są to kobiety czy mężczyźni. Jak słusznie zauważył mój redakcyjny kolega, brak przyzwoitości w polityce nie ma po prostu płci.

Photo by Clay Banks on Unsplash

Leszek Miller, który sam ma na swoim koncie budzące zdziwienie transfery polityczne, na przykład do Samoobrony, łagodnie oceniając decyzję Moniki Pawłowskiej, nie ma racji w tym konkretnym przypadku. Ma jednak słuszność twierdząc, że istnieją transfery w polityce, które nie są niczym niezwykłym i niemoralnym. Zasadnicze pytanie brzmi, na jakich zasadach, w jakiej sytuacji i do kogo udaje się polityczny wędrowca? Czy dzieje się to przy zachowaniu zasad przyzwoitości, więzi z wyborami i pewnej spójności programowej?

Donald Tusk, opuszczając Unię Wolności wraz ze swoją grupą polityczną i współtworząc Platformę Obywatelską, zachował pewną kontynuację ideową, nie przeszedł na pozycje zupełnie sprzeczne z tym, co wcześniej głosił. Pozostawiając z boku mój osobisty sentyment wobec Unii Wolności i wiele krytycznych uwag wobec Platformy, muszę podkreślić, że po prostu – w kategoriach skuteczności politycznej – stworzył na lata efektywniejszą organizację realizującą misję, która wcześniej mu politycznie przyświecała. Czyli zrealizował to, co do polityka należy.

Również nie jestem krytyczny wobec większości transferów politycznych, jakie miały miejsce w ostatnich miesiącach do Polski 2050 Szymona Hołowni. Jeśli tworzona jest nowa, poważna inicjatywa polityczna, zbliżona ideowo do innych opcji opozycyjnych, która może skuteczniej osiągać cele opozycji, to nie należy jej lekceważyć i skreślać. Nie wiem, jaka będzie przyszłość tej inicjatywy, chciałbym lepiej zrozumieć rys ideowy i konkretny całościowy program tej partii, którego wciąż brakuje. Ale uważam że np. ruch Joanny Muchy, która po wielu latach konsekwentnej pracy na rzecz Platformy podjęła świadomą decyzję o zmianie, ponieważ uznała, że poprzez tę strukturę może zdziałać więcej, nie jest czymś niemoralnym. To nie jest zachowanie cynicznego „skoczka".

Rozumiem potrzebę budowy choć koła poselskiego w Sejmie, ale trzeba budować je z osób przynajmniej potencjalnie w przyszłości lojalnych

Inaczej natomiast oceniam decyzję Tomasza Zimocha, dziennikarza, celebryty bez żadnego dorobku politycznego, który przypadkowo dostał miejsce na liście Koalicji Obywatelskiej w zasadzie zapewniające wejście do Sejmu i po kilkunastu miesiącach w sposób zupełnie nielojalny, nie wnosząc niczego do prac KO, zmienił klubowe barwy. Nie rozumiem też dlaczego został do Polski 2050 przyjęty. Rozumiem potrzebę budowy choć koła poselskiego w Sejmie, ale trzeba budować je z osób przynajmniej potencjalnie w przyszłości lojalnych. Niezwykle ciekawym pytaniem jest też, na ile takie polityczne transfery będą się Polsce 2050 wizerunkowo opłacać? Wydaje się, że dla przetrwania w głowach wyborców kilku lat do wyborów, klub w Sejmie jest potrzebny. Ale czy w takim akurat składzie osobowym?

Wydaje się natomiast, że zbliża się ostateczny kres samodzielnej politycznej kariery Pawła Kukiza. Prawdopodobne wejście jego grupy do obecnej koalicji rządowej, bez spełnienia jego zasadniczych postulatów, o których mówił od lat (słusznych czy nie, to pozostawiam na oczywistym marginesie), w celu ratowania coraz bardziej gnijącego układu rządzącego Polską, będzie oznaczało koniec jego jakiejkolwiek wiarygodności. Naprawdę po ludzku nie rozumiem, dlaczego Kukiz chce to dziś uczynić. Zamiast zachować twarz i wrócić do swojego zawodu, zostanie zapamiętany jako człowiek ratujący patologiczny układ, nieosiągający swoich założeń programowych, za cenę jakiegoś lichego miejsca na listach wyborczych PiS w kolejnej kadencji.

W skutecznej polityce nie ma miejsca na pięknoduchostwo, polityk musi być skuteczny. Nie powinno jednak być również w niej miejsca na polityczną prostytucję. Dbać o to powinni zarówno wyborcy, jak i liderzy partyjni. W swoim własnym najlepszym interesie. Dlatego w przyszłości warto rozważyć wprowadzenie mechanizmu, w którym wyborcy z danego okręgu, w przypadku zmiany klubu przez danego posła, mieli prawo zażądać ponownego głosowania nad jego mandatem w trakcie trwania kadencji. Jeśli „poseł – wędrowiec" nie uzyskałby większości głosów dla aprobaty swojego ruchu, wówczas w jego miejsce posłem zostawałaby kolejna osoba z listy partii, z której początkowo startował. ●

Przypis:

[1] https://tuudi.net/ zastanawiacie-sie-co-u-wojciecha-kaluzy-oto-odpowiedz/

BŁAŻEJ LENKOWSKI

Politolog, publicysta, prezes zarządu Fundacji *Liberte!*.

POMIĘDZY ETYKĄ BIZNESU A KULTURĄ KORPORACYJNĄ

TOMASZ KASPROWICZ

Etyka w biznesie: dla jednych oksymoron, dla innych chwyt reklamowy, dla trzecich faktyczne działanie. W rzeczywistości zaś problem znacznie bardziej skomplikowany niż mogłoby się wydawać.

Photo by Ben Rosett on Unsplash

Nie budzi większych kontrowersji proste stwierdzenie, że powinniśmy zachowywać się etycznie. Co to dokładnie znaczy, to już sprawa zupełnie inna i bardzo skomplikowana. Od starożytności filozofowie zastanawiają się, co to znaczy „żyć dobrze". My tą zagadkę pozostawimy do rozwiązania komu innemu i zdamy się na naszą intuicję w ocenie tego, co dobre, a co złe, pozostawiając popularny „dylemat wagonika" na inną okazję.

To, o czym jednak warto wspomnieć, to społeczne uwarunkowanie etyki jako takiej. To, co jest uznawane za złe czy za dobre, wynika z tego, co społeczeństwo za takie uważa. To konstatacja dość niepokojąca, bo niezwykle relatywistyczna: ta sama rzecz może być raz zła, a raz dobra – w zależności od poglądów społecznych. Z drugiej strony, każda refleksja upewnia nas, że tak właśnie jest, na bieżąco obserwujemy zmianę oceny moralnej: aktywności zawodowej matek, homoseksualizmu, seksu przedmałżeńskiego i wielu innych zjawisk. Ten relatywizm często nie podoba się konserwatystom postulującym transcendentne zakotwiczenie systemu moralnego. Ci bardziej religijni odnoszą się do bóstwa – pomijając fakt, że jego autorytet też jest kapryśny. Abraham składający w ofierze swego syna czyni dobrze – bo dobre jest wszystko, czego chce bóstwo, i to z definicji. Wszystkie ludobójstwa Starego Testamentu są dobre, łącznie z zabijaniem dzieci – bo tak chce bóg. Zatem i tu zmienność i relatywizm pozostają dużymi problemami. Mniej religijni konserwatyści (lub tą religijność ukrywający) odwołują się do „prawa naturalnego" – przy czym do tych podobno niezmiennych praw każdy konserwatysta dopisuje co chce i wracamy do punktu wyjścia. Jedyne prawa naturalne, jakie znamy, to prawa fizyki, a ich przełożenie na etykę jest bardzo słabe.

Najlepsze znane wytłumaczenie istnienia norm etycznych wynika z socjologii ewolucyjnej. Analizuje ona, jakie normy społeczne dają najlepsze wyniki w postaci stabilności oraz ekspansywności danej społeczności. Społeczności adaptujące najbardziej sprzyjające rozwojowi normy, a co za tym idzie etykę, uzyskują przewagę nad innymi grupami i je dominują. W efekcie większość społeczności na świecie uzyskuje dość zbliżony zestaw norm – co może dawać złudzenie istnienia jakiejś obiektywnej transcendentnej etyki.

Tak czy inaczej, normy etyczne to poszukiwanie optymalnego poziomu równowagi pomiędzy egoistycznym interesem jednostki a kolektywnym interesem grupy jako całości. To, w jakim punkcie ta równowaga zostanie osiągnięta, zależy od wielu uwarunkowań. Co do zasady, im cięższe warunki zewnętrzne, tym większy nacisk na interes grupy – bo grupa tylko ściśle współpracując jest w stanie przetrwać. Skazanie na wygnanie to wyrok śmierci. Łagodniejsze

warunki to więcej miejsca dla indywidualizmu, który dla odmiany zwykle nadaje grupom więcej dynamiki. Rozwój technologiczny ostatniego wieku poprawił poziom życia właściwie wszędzie na świecie, co doprowadziło do triumfu indywidualizmu i liberalizmu. Jednak rosnące skomplikowanie zglobalizowanego świata zaczyna wymagać coraz lepszej koordynacji i w przekonaniu wielu poziom indywidualizmu będzie musiał zostać ograniczony. Zmaganie Zachodu z Chinami to jeden z testów tej hipotezy, innym, dużo mniej drastycznym, jest dynamika relacji między USA i UE.

Ludobójstwa Starego Testamentu są dobre, łącznie z zabijaniem dzieci – bo tak chce bóg. Zatem i tu zmienność i relatywizm pozostają dużymi problemami

Kluczowym elementem faktu społecznego charakteru etyki jest sankcjonowanie jej norm. Oczywiście istnieje pewna grupa ludzi, którzy zachowują się etycznie, gdyż normy etyczne zinternalizowali. Zachowują się etycznie, bo uważają, że tak należy. Nie ukrywajmy jednak – to mniejszość. Większość zachowuje się etycznie ze strachu przed społecznymi konsekwencjami przyłapania na łamaniu tych norm (czy to prawnych czy pozaprawnych). Brak takich sankcji działa na normy etyczne niszcząco: w ostatnich latach zniknęły sankcje społeczne za kłamstwo w sferze publicznej, co zaowocowało politykami, którzy nie tylko kłamią (bo kłamali zawsze), ale są otwarcie dumni z tego, że kłamią. Zaś politycy mający w tym zakresie opory znajdują się w pozycji dość trudnej. To samo zaczyna powoli dotyczyć także kwestii korupcyjnych. Najwyraźniej obecnie sankcje społeczne działają jeszcze w zakresie kwot stosunkowo małych (jak nagrody dla ministrów), ale kiedy te wchodzą w miliony, stają się abstrakcją.

Kontekst sankcji społecznej jest właśnie kluczowy z punktu widzenia etyki w biznesie. Bowiem biznes nie istnieje w oderwaniu od społeczności. Działalność gospodarcza bazuje u swego źródła na wymianie między członkami społeczności. Zatem zachowanie nieetyczne podkopuje samą możliwość prowadzenia biznesu, gdy interesariusze, w ramach sankcji, od takiej firmy się odsuwają. Może mieć to wymiar indywidualny, kiedy rezygnujemy z zakupu w jakimś sklepie, który potraktował nas (lub kogoś innego) niewłaściwie. Jeden klient może nie wydawać

Photo by Marten Bjork on Unsplash

się wielkim problemem, ale zła opinia ma tendencję do szybkiego rozchodzenia się, jako że mamy zwyczaj dzielenia się raczej złymi doświadczeniami niż tymi dobrymi. Może to mieć też wymiar kolektywny, kiedy to duże grupy decydują się w szerokim bojkocie zrezygnować z produktów czy usług jakiejś firmy w odpowiedzi na jej poczynania.

Jednak kwestia oceny etyczności biznesu jest bardzo nieoczywista. Bynajmniej nie dla tego, że to jakieś wyjątkowa przestrzeń, ale dlatego, że roi się tam od osób niebędących ludźmi (to chyba jedyne takie miejsce poza teologią). Bo o ile ma sens mówienie o tym, że ktoś zachowuje się etycznie – to na ile ma sens zastanawianie się czy etycznie zachowuje się firma? No bo jeśli oszuka mnie kasjer w hipermarkecie, to jak się to ma do etyki w biznesie?

Rozwój technologiczny ostatniego wieku poprawił poziom życia właściwie wszędzie na świecie, co doprowadziło do triumfu indywidualizmu i liberalizmu

Nie jest to wbrew pozorom pytanie trywialne. Mogłoby się wydawać, że mamy tu do czynienia w sposób oczywisty z nieuczciwością pojedynczego człowieka, który na niej skorzystał – więc to on jest nieetyczny. Co innego, gdyby skorzystała na tym firma... Tylko że de facto każda decyzja podejmowana przez człowieka w imieniu firmy ma komponent korzyści własnej podejmującego tą decyzję. Kierownik fabryki decydujący o spuście ścieków do rzeki nie robi tego w imię 'dobra firmy' tylko w nadziei na utrzymanie posady/premię/awans (niepotrzebne skreślić).

Czy zatem da się w ogóle mówić o etyce biznesu? Liberalizm wyraźnie mówi, że odpowiedzialność etyczna spoczywa na jednostce dokonującej wybory. Firma zwykle nie jest jednostką tylko konglomeratem. Mimo to wydaje się, że ta dyskusja ma sens – nawet z liberalnego punktu widzenia. Najprościej da się to zrobić, kiedy rozpatrujemy niewielkie firmy, w których zarządzający są jednocześnie właścicielami. W tej sytuacji rozróżnienie na firmę i człowieka staje się mniej istotne. Działania tak ocenione jako społecznie korzystne, jak i te ocenione jako społecznie szkodliwe świadczą o poziomie moralności tego konkretnego przedsiębiorcy. I choć sytuacja jest tu prosta, to sama ocena etyczna konkretnych działań wcale taka prosta nie jest. Jak ocenić moralnie akcję #otwieraMy, podejmowaną przez drobnych przedsiębiorców chcących wznowić działalność mimo pandemii? Z jednej stromy mamy głód zaglądający w oczy tym ludziom, połączony z codziennym obserwowaniem jak ginie dorobek ich życia. Z drugiej mamy życie osób, którzy zapadną na COVID z powodu nieprzestrzegania obostrzeń.

Sytuacja poważnie komplikuje się w przypadku większych organizmów, w których właściciel odseparowany jest od zarządzania. Wielkie korporacje mają tysiące, jeśli nie miliony drobnych właścicieli nie mających właściwie żadnego wpływu na to, co firma robi. Z drugiej strony zarząd dysponuje cudzymi pieniędzmi. Jeśli prezes wielkiej firmy decyduje o przekazaniu jakiejś kwoty na przykład na cele charytatywne, to jak należy ocenić takie działanie z etycznego punktu widzenia? Pomoc jest realna – ale w końcu prezes wyciągnął te pieniądze z cudzego portfela – właściciele zostali do tego działania przymuszeni. Komu więc przypada moralna zasługa? Okradzionym, a często nieświadomym właścicielom? Zarządowi dysponującemu cudzymi pieniędzmi wbrew interesom posiadacza? Nikomu? Wszystkim? Z tego problemu wyrasta częste uzasadnianie CSR (*Corporate Social Responsibility* – Odpowiedzialność Społeczna Biznesu) tym, że tego typu akcje zachęcają społeczność do nagrodzenia tego zachowania i w efekcie przełożą się na korzyści dla właścicieli. Przy czym i takie stwierdzenie jest problematyczne. Po pierwsze, tego typu stwierdzenie jest właściwie nieweryfikowalne. Po drugie, jeśli czyn jest motywowany wyłącznie własną korzyścią – jaka jest jego wartość moralna? Z tych powodów działalność dobroczynna firm pozostaje moralnie dwuznaczna. Jeżeli właściciele firmy chcą pomagać, niech robią to samodzielnie w zakresie i kierunku jaki uznają za stosowny, a nie za pośrednictwem autonomicznego agenta, który może działać wbrew ich życzeniom i priorytetom. A jeśli działanie dobroczynne ma mieć efekt marketingowy, niech się nim zajmie dział marketingu.

Liberalizm wyraźnie mówi, że odpowiedzialność etyczna spoczywa na jednostce dokonującej wybory. Firma zwykle nie jest jednostką tylko konglomeratem

Ciekawsza jednak wydaje się kwestia negatywnie ocenianych działań i odpowiedzialności, jaka spada na firmę. Oczywiście żadna organizacja nie ma możliwości kontrolowania wszystkich swych członków i co jakiś czas pojawia się zgniłe jabłko – jak wspomniany wcześniej nieuczciwy kasjer. Jednak od kultury

organizacyjnej zależy, czy takie jabłka będą wyjątkami – szybko znajdowanymi i odrzucanymi, czy wręcz przeciwnie – organizacja sama takie jabłka będzie przyciągać czy wręcz tworzyć. Znane są toksyczne kultury korporacyjne, stawiające patologicznie duży nacisk na normy sprzedażowe – co skutkuje sprzedawcami wciskającymi produkty na siłę, a nieraz za pomocą oszustwa. Dotyczy to zwykle branży finansowej i pseudomedycznej (czyli sprzedającej za grube pieniądze różne specyfiki i urządzenia o wątpliwym działaniu prozdrowotnym), ale zdarzają się i inne produkty, choćby tak przyziemne jak garnki. Oferta często jest kierowana zaś do ludzi łatwych do zmanipulowania, na przykład starszych.

Photo by Andrea Natali on Unsplash

Znane są toksyczne kultury korporacyjne, stawiające patologicznie duży nacisk na normy sprzedażowe – co skutkuje sprzedawcami wciskającymi produkty na siłę, a nieraz za pomocą oszustwa

Innym grzechem kultury organizacyjnej bywa zasada źle rozumianej lojalności – czyli ochrona własnych członków za wszelką cenę, pomimo błędów i nieetycznych działań jakich się dopuścili. Firmom często trudno jest odciąć się od wpływowych insiderów, choć nierzadko, koniec końców, opinia publiczna zmusza ich do odejścia. Jak niszczące w oczach społecznych jest to zachowanie, widać na przykładzie Kościoła katolickiego, która kultura korporacyjna zakładała ochronę swoich członków w każdym przypadku – nawet molestowania dzieci. Spadek autorytetu, jak i liczby wiernych wynika w dużej mierze z ujawnienia tejże kultury korporacyjnej (a nie samych przypadków molestowania).

Zatem odpowiedzialność społeczna biznesu nie polega na dobroczynności – tym mogą zająć się właściciele na własną rękę i zgodnie z własnym sumieniem. Kluczową odpowiedzialnością biznesu jest wprowadzenie takich zasad wewnętrznych by rugować ze swych szeregów jednostki nieetyczne. Etyczną jest firma, która promuje etyczne zachowania swoich członków. Nieetyczna to ta, która na nieetycz ne zachowania pracowników przymyka oczy lub co gorsza je promuje i wyzwala. I ta ocena nijak nie kłóci się z zasadą indywidualnej odpowiedzialności. ●

DR TOMASZ KASPROWICZ

Wiceprezes Fundacji Res Publica, członek redakcji Res Publica Nowa i *Liberté!*, wykładowca akademicki z doświadczeniem na trzech kontynentach, przedsiębiorca działający w branży IT.

SCHADENFREUDE-19

PIOTR BENIUSZYS

Pod cienką powłoką lekko zmodyfikowanej osobowości tkwi ten sam, stary, „dobry" człowiek, który jednego dnia oburza się na „absurdalne obostrzenia", a drugiego panikuje gdy słyszy, że ktoś kichnął, który specjalizuje się w krytyce z pozycji własnej kanapy, kręci nosem na układ kolejki do szczepień, oburza się na szczepiących się poza kolejką równocześnie anonsując swój zamiar nieszczepienia się, postrzega się jako czołowego eksperta od chorób zakaźnych, metod testowania, dróg zakażeń i fal pandemii, uważa, że wielu ludzi przesadza z tą pandemią, no i oczywiście odczuwa od czasu do czasu, choćby podskórnie, podświadomie i mimochodem, *schadenfreude* w związku z pandemicznymi „perypetiami" bliźnich.

Photo by Shane Rounce on Unsplash

Trudny rok za nami.

Polska ustanowiła rekord europejski w kategorii (to zresztą dość ciekawe sformułowanie) „nadprogramowych zgonów" spowodowanych koronawirusem. Siedzimy w domach bez możliwości pójścia do pubu, kina, teatru czy restauracji, a niekiedy nie chodzimy nawet do pracy i na zakupy, bo lockdown wiele ma twarzy i niełatwo prognozować, co będzie nam wolno za tydzień. Formalnie nie wolno uprawiać sportu, a ponieważ większość z nas szuka wymówek, aby go nie uprawiać, nawet gdy jest to dozwolone, to teraz sprawa jest jasna jak słońce. Rosną brzuchy. Golenie się stanowi spory wysiłek, gdy na Zoomie tygodniowy zarost wygląda całkiem nieźle w przypadku zajęcia odpowiedniego miejsca w relacji do okna. Rzadkie wizyty na dawniej codziennie odwiedzanych ulicach miasta pozwalają odkryć, że kolejne szyldy restauracji zostały zdemontowane. Media donoszą o rozpaczliwej sytuacji w służbie zdrowia, pękających w szwach szpitalach zwykłych, covidowych i tymczasowych. Co rusz te dramatyczne wieści zostają upstrzone materiałami o upadających firmach, ludziach w poważnych tarapatach finansowych, młodzieży pogrążającej się w coraz głębszym kryzysie emocjonalnym wskutek odcięcia od rówieśników i posiadającej coraz większe deficyty wiedzy wskutek nieadekwatnego charakteru zdalnego nauczania. Co kilka minut w telewizji i na stronach internetowych widzimy, jak kogoś szczepią, ale równocześnie prosta arytmetyka skłania do podejrzeń, że szczepiący się dziś stracą odporność i będą potrzebować drugiego szczepienia sezonowego, zanim my podejdziemy do pierwszej dawki. Do tego dochodzą wieści o nowych szczepach wirusa, odporniejszych na szczepionki, szybciej się rozprzestrzeniających, powodujących cięższy przebieg choroby, silniej atakujących młodych i nawet dzieci, których nikt dotąd nie planował szczepić. No i te doniesienia o „długim covidzie" – o późnych powikłaniach dla układu krążenia i oddychania, ale też dla układu nerwowego, o utratach pamięci, zapominanych językach obcych, niezdolności do nauki i pracy. Oto środowisko naszego życia od całego już roku.

Stary, dobry człowiek

Nakazem czasów jest więc solidarność międzyludzka. Taką atmosferę usiłują stworzyć odpowiedzialne media, przykłady takiej postawy są pokazywane jak najczęściej. Gdy jest tak ciężko, nadzieję musimy czerpać choćby z tego, że gotowość niesienia pomocy w narodzie jest wielka. To niczym Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy na okrągło. Politycy co prawda nadal okładają się po głowach w zwyczajnym stylu (co jest o tyle zrozumiałe, że lista błędów rządu w toku walki z pandemią robi stosunkowo piorunujące wrażenie), ale „zwykli ludzie" tryskają empatią. Taka jest oficjalna narracja i w naszej desperacji bardzo chcemy wierzyć w to nasze powszechne zdanie egzaminu z człowieczeństwa.

Prawda jest jednak naturalnie bardziej złożona i – w sumie – zwyczajna. Wyjątkowe okoliczności wyjątkowymi okolicznościami, ale najbardziej uderzającym wnioskiem z roku panowania pandemii w Polsce (i nie tylko w Polsce) jest ten, że ludzie się pod wpływem tych doświadczeń w zasadzie nie zmieniają. Pod cienką powłoką lekko zmodyfikowanej osobowości tkwi ten sam, stary, „dobry" człowiek, który jednego dnia oburza się na „absurdalne obostrzenia", a drugiego panikuje gdy słyszy, że ktoś kichnął, który specjalizuje się w krytyce z pozycji własnej kanapy, kręci nosem na układ kolejki do szczepień, oburza się na szczepiących się poza kolejką równocześnie anonsując swój zamiar nieszczepienia się, postrzega się jako czołowego eksperta od chorób zakaźnych, metod testowania, dróg zakażeń i fal pandemii, uważa, że wielu ludzi przesadza z tą pandemią, no i oczywiście odczuwa od czasu do czasu, choćby podskórnie, podświadomie i mimochodem, schadenfreude w związku z pandemicznymi „perypetiami" bliźnich.

Rosną brzuchy. Golenie się stanowi spory wysiłek, gdy na Zoomie tygodniowy zarost wygląda całkiem nieźle...

Schadenfreude to – obok *Zeitgeist* – jedno z najbardziej udanych i globalnie stosowanych słów niemieckich. Oznacza dosłownie „radość z [cudzej] szkody", brutalnie mówiąc (acz jest to niekiedy przesadne i nieadekwatne) z cudzego nieszczęścia. Wydawać by się mogło (naiwnemu optymiście), że schadenfreude będzie pierwszym ze zjawisk ludzkiej konstrukcji psychicznej, które zaniknie lub przynajmniej ulegnie stępieniu w dobie klęski pandemicznej. Nic z tych rzeczy. Ma się świetnie, a realia ostatniego roku stworzyły dlań całą feerię warunków do istnego rozkwitu. W istocie, pandemiczny rok 2020-21 w warstwie deklaratywnej może przejdzie do historii jako rok solidarności i empatii, lecz w warstwie realnej raczej jako rok schadenfreude.

He he he

Sporo było też oburzenia, ale gdy młody warszawski przedsiębiorca, parający się najmem krótkotrwałym wynajmowanych przez samego siebie długotrwale luksusowych apartamentów w Warszawie, otrzymał zakaz prowadzenia działalności w związku z reżimem obostrzeń, a nie został objęty (co nader często się zdarza) „wsparciem" z żadnej z rządowych „tarcz", wobec czego z kolei wystąpił z apelem

Photo by Kevin Butz on Unsplash

o udzielenie jego biznesowi pomocy przez zwykłych ludzi w ramach zbiórki publicznej, reakcją była eksplozja *schadenfreude*. Najem krótkotrwały ma swoje ciemne strony i bywa przedmiotem zasadnej krytyki, ale na razie prowadzi się go całkowicie legalnie. Pomimo tego, najczęstszą reakcją w tym przypadku była radość, że nielubiany przedsiębiorca dostanie w kość, a nawet że pandemia oczyści rynek z takich firm jak jego. W tym ujęciu pandemia została więc ustawiona w roli pozytywnego zjawiska, które choć jakąś jedną dobrą rzecz przyniesie.

Ogólnie przedsiębiorcy i pracodawcy od lat nie należą w Polsce do lubianych kategorii osób. Zjawisko wypłacania im dofinansowań różnego rodzaju przez rządy staje się dla lewicowego komentariatu rzekomym potwierdzeniem przewagi opieki rządu nad wolnym rynkiem. Dopłaty są nazywane (jest to zresztą także nomenklatura używana przez sam rząd) „pomocą" i „wsparciem", chociaż przecież są odszkodowaniami za straty spowodowane przez rząd i jego decyzje o obostrzeniach (często zresztą nadmiernych, zbędnych, nielogicznych i nietrafnych). Internet pełen jest jednak komentarzy-heheszków, że oto owa nienawistna kasta oferujących niskie wynagrodzenia i oczekujących zaangażowania w miejscu pracy pracodawców sama została przez pandemię zmuszona do przyjęcia uniżonej postawy potrzebujących „pomocy".

Schadenfreude to – obok _Zeitgeist_ – jedno z najbardziej udanych i globalnie stosowanych słów niemieckich. Oznacza dosłownie „radość z [cudzej] szkody", brutalnie mówiąc z cudzego nieszczęścia

To tylko jeden z aspektów. *Schadenfreude* jest oczywiście obecna w komentarzach na tematy polityczne. Jedni jak na zbawienie czekali na informację o zarażeniu Tuska, drudzy wiązali pewne nadzieje z ewentualną infekcją Kaczyńskiego. Brzydkie komentarze pociągnęła za sobą wieść o ciężkim przebiegu choroby u konserwatywnego publicysty Piotra Semki, nie brakowało radości w związku z trafieniem prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego do szpitala. Korespondent TVP Cezary Gmyz wpadł niemal w orgazm *schadenfreude*, gdy pojawiły się doniesienia o kiepskich postępach akcji szczepień w Niemczech, uznał że tweet na ten temat warto opublikować „na pocieszenie" dla Polaków. W końcu, *schadenfreude* pojawia się także w bardziej, hmm, uzasadnionych kontekstach – gdy wirus dosięga osoby głośno kwestionujące zagrożenia pandemiczne, lekceważące obowiązek noszenia masek czy inne regulacje, sugerujące słuchającym ich ludziom, aby nie brali tego wszystkiego zbytnio na poważnie i żyli „dalej normalnie". To kazus niektórych księży zupełnie nieodpowiedzialnie zachowujących się w wielu parafialnych kościołach, no i oczywiście byłego prezydenta USA Donalda Trumpa. W dniu, w którym upubliczniono informację o jego zarażeniu koronawirusem, internetowy słownik języka angielskiego Merriam-Webster stwierdził wzrost zainteresowania hasłem „*schadenfreude*" na poziomie ok. 30.500%.

Tymczasem _schadenfreude_ jest – jasno sprawę stawiając – normalnym i naturalnym zachowaniem człowieka

To normalne

Pierwszą reakcją na wszystkie te doniesienia o radości jednego człowieka z choroby lub materialnej klęski drugiego człowieka jest oczywiście złość i chęć potępienia. Ale to znów podobna świętoszkowatość, jak ta cienka warstwa lukru z demonstrowanej empatii na tych głębokich pokładach zwyczajnej natury ludzkiej, której pandemia nie unieważniła. Tymczasem *schadenfreude* jest – jasno sprawę stawiając – normalnym i naturalnym zachowaniem człowieka. Może to nawet wręcz dobrze, że nie pozwalamy się pandemii dopaść gdzieś tam głęboko, wewnątrz ludzkiej natury?

Schopenhauer powiedział kiedyś, że podczas gdy zazdrość (której również nie znosił) można tolerować jako cechę typowo ludzką, tak radość z cudzego nieszczęścia jest „cechą iście szatańską". Psychologia współczesna ma jednak inne zdanie. Charakteryzuje ona *schadenfreude* jako mechanizm radzenia sobie z trudnościami życiowymi, w tym zwłaszcza z niepewnością jutra. Już samo to zdanie ujawnia szerokość jej zastosowania i jej głęboką potrzebę w realiach pandemii. Stanowi ona bowiem rodzaj strategii przetrwania na płaszczyźnie psychologicznej. Gdy jest trudno, informacja o problemach innych przynosi kojącą ulgę, że nie tylko ja mam ciężko i przegrywam ze złowrogim światem. Daje siłę, by dalej walczyć i wierzyć, że będzie lepiej. Jest wyrazem konkurencyjnej natury człowieka, który pragnie być lepszym (a w wersji dla komunitarystów: nie gorszym) od innych. Porażka drugiego

Photo by Rostyslav Savchyn on Unsplash

instynktownie rodzi więc te pozytywne emocje, ze względu na wzmocnienie własnej perspektywy osiągnięcia komparatywnego sukcesu. Ma oczywiście także aspekt grupowy (to dlatego Gmyza ucieszyło niepowodzenie Niemców, a lewicowców postrzegających społeczeństwo w kategoriach stałej walki pracowników z pracodawcami, cieszą problemy właścicieli firm). Zazdrość, gniew i poczucie niższości są czynnikami ją wywołującymi, zaś poczucie winy i wstydu niekiedy jej następstwami. Jednak gdy trwa, uruchamia ośrodek nagrody i dopływ dopaminy w naszych mózgach. Nic więc dziwnego, że nie potrafimy tak po prostu przestać po nią sięgać.

Często mawia się, że „wszystko jest dla ludzi", o ile używane z umiarem i roztropnie. Mawia się tak i o niezdrowym jedzeniu, i o kawie, i o alkoholu, i o rzucaniu mięsem, i o grach losowych, i o chodzeniu do kościoła, a nawet o „miękkich narkotykach" i seksie. Wydaje się, że i *schadenfreude* jest dla ludzi. Badania przestrzegają jednak przed pozwalaniem sobie na takie uczucie zbyt często. Po pierwsze, okazuje się ono bywać nawykiem uzależniającym (nic dziwnego, w końcu w grę wchodzi dopamina). Po drugie, jest „prymitywną" strategią radzenia sobie z trudnościami, najłatwiej dostępną. Z niepewnością jutra oraz realiami konkurencyjnego środowiska relacji międzyludzkich lepiej oczywiście radzić sobie stawiając na (i inwestując wysiłek we) własny sukces, zamiast wygrywać dzięki porażce bliźniego/konkurenta (albo nawet i nie wygrywać, a tylko radować podobnym nieudacznictwem drugiego). W końcu, nadużywanie *schadenfreude* eroduje naszą zdolność do generowania u siebie empatii.

Nadużywanie *schadenfreude* eroduje naszą zdolność do generowania u siebie empatii

I to ostatnie jest jednak w sytuacji pandemii – „wyścigu" i ścierania się naszych karetek o łóżka covidowe dla nas; międzypokoleniowych różnic interesów wbudowanych w logikę tego wirusa (obostrzenia mające chronić życie i zdrowie seniorów uderzające przede wszystkim w zdrowie psychiczne dzieci i młodzieży); podskórnego dotąd, ale nabierającego już tempa konkurowania państw o szczepionki; nierównego i nielogicznego traktowania branż przez rząd – dość niebezpieczne z punktu widzenia trwania czegoś na kształt wspólnoty. *Schadenfreude* jest „fajna", gdy konsekwencje „nieszczęścia" są błahe (na przykład gdy Bayern Monachium albo Manchester United przegrywają mecz), albo naprawdę zasłużone i sprawiedliwe (gdy Bernie Madoff czy Harvey Weinstein idą do pierdla). Gdy w grę wchodzi jednak egzystencjalny strach, to warto silić się na więcej samokontroli przy spontanicznych wybuchach emocji. Może warto zawiesić na kilkanaście miesięcy nasze „tradycyjne" antypatie i nie cieszyć się z zarazy ani u „kapitalisty", ani u „klechy", ani u „pisowca/platformersa", ani u „celebrytki", ani nawet u „foliarzy"?

Jak pandemia minie, z tym większą ochotą i werwą weźmiemy się znów za łby. ●

PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, tłumacz, specjalista w dziedzinie historii liberalizmu i ewolucji zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!", pisał także na łamach „Gazety Wyborczej", tygodnika „Polityka", „Dziennika Gazety Prawnej" oraz dla Instytutu Obywatelskiego.

N-ETYKA

MAGDALENA M. KAJ

Indywidualnie definiowana etyka oraz indywidualnie definiowanie działania etyczne, stają się orężem w walce ideologicznej, której jesteśmy świadkami a nierzadko – także uczestnikami. Główne miejsce starcia – Internet.

Photo by NASA on Unsplash

W najprostszym i najbardziej podstawowym wymiarze, etykę definiujemy jako całość norm moralnych, które w danym okresie czasu, przez daną grupę społeczną, traktowane są jako punkt odniesienia, umożliwiający dokonanie oceny i wpływanie na zachowanie i postępowanie, w celu jak najbliższej integracji wspominanej grupy wokół pewnych wartości. W wymiarze akademickim, etyka jest nauką o moralności.

W roku 1993, w czasie, kiedy Internet dopiero zaczynał zdobywać popularność, w amerykańskim tygodniku *The New Yorker* pojawił się obrazek autorstwa Petera Steinera, przedstawiający dwa psy. Jeden z nich siedzi przed ekranem komputera i zwraca się do czworonożnego kolegi, który słucha go z uwagą, mówiąc: *W Internecie nikt nie wie, że jesteś psem*. Prawie trzydzieści lat temu wydźwięk komiksu był inny niż dzisiaj. Wtedy mówił: to nowe, wspaniałe miejsce – Internet – daje nam prywatność i możliwość przyjęcia każdej roli społecznej, na jaką mamy ochotę, bez konsekwencji, bez sprawdzenia, bez kary.

Dzisiaj, po trzech dekadach ekspansji Internetu oraz przeniesienia dużej części naszego codziennego życia do rzeczywistości wirtualnej – masowo korzystamy z bankowości elektronicznej, zakupów online, czy wykorzystujemy każdą możliwość, by chwalić się naszym życiem w mediach społecznościowych – wiemy już, że całkowita prywatność w sieci nie istnieje, a każda nasza aktywność pozostawia ślad, choćby najmniejszy.

Nie zmienia to jednak faktu, że – podobnie jak piesek ze starej ilustracji – chętnie decydujemy się na wejście w inne role społeczne niż te wypełnianie każdego dnia. Najczęściej wchodzimy w rolę eksperta. W jakim obszarze? Tutaj ogranicza nas już tylko nasza fantazja. A będąc już internetowym ekspertem w danej dziedzinie, tylko krok dzieli nas od wyższego stopnia wtajemniczenia – pouczania innych. Przecież inni nie wiedzą, kto siedzi przed ekranem, a skoro przedstawił się bądź uzurpuje sobie rolę eksperta, należy wysłuchać co ma do powiedzenia. A następnie – wejść z owym ekspertem w merytoryczny spór, bo kimże jesteśmy my, użytkownicy Internetu, jeśli nie również specjalistami?

Internet jest wymarzonym miejscem na wylewanie żalów, niezadowolenia, frustracji czy stawianie diagnoz społeczno-politycznych, wszystko pod przykrywką oceniania innych z perspektywy etyczności czy moralności ich postępowania.

Uniwersyteckie katedry filozofii bledną w porównaniu do sekcji komentarzy na portalach społecznościowych czy plotkarskich. To tam internetowi eksperci od zagadnień etycznych uczą społeczeństwo odróżniać, które zachowanie jest etyczne, a które nie, które działanie jest moralne, a które nie. Cóż z tego, że owi eksperci zazwyczaj mają fundamentalnie odmienne zdania? Czyni to

dyskusję jeszcze bardziej interesującą, zupełnie inną niż na nudnych, uniwersyteckich wykładach.

Zapraszam więc na wykłady „Etyka w praktyce – wersja internetowa. Tematy wybrane". W roli wykładowców: internetowi eksperci od spraw wszelakich, bez potwierdzonych kwalifikacji w żadnej z dziedzin, w której zaraz wygłoszą wykład.

Wykład 1: Koronawirus a sprawa polska

Od ponad roku żyjemy w innym, pandemicznym świecie, który odebrał nam swobodę planowania, a sprezentował ciągłe poczucie strachu przed zakażeniem, narastającą frustrację oraz długotrwałe zamknięcie w zasadzie wszystkich miejsc, do których uczęszczaliśmy. Nie wiadomo, jak długo potrwa ten przedziwny stan, wiadomo jednak, że grono internetowych ekspertów-wirusologów powiększa się każdego dnia. Ilość teorii spiskowych stworzonych przez ostatni rok jest bezprecedensowa, liczba oskarżonych o ten stan rośnie w siłę – winni są, jak zwykle, Żydzi, rząd światowy, przemysły farmaceutyczne, czasem także Iluminaci. Prawdę o pandemii serwują nam „obudzeni" (ang. woken), czyli osoby „świadome", którym udało się przejrzeć te globalne kłamstwa i wiedzą, że wszystko zostało zmyślone, a w szpitalach leżą statyści. Poglądy głoszone przez trzecioligowych celebrytów znajdują podatny grunt wśród wielbicieli teorii spiskowych, dla których domem jest Internet. W efekcie mamy do czynienia z wtargnięciami do szpitali owych „obudzonych", którzy bez maseczek próbują filmować szpitalne łóżka i leżących na nich rzekomych aktorów. Podobnie szeroką wiedzę prezentują w temacie szczepionek – na COVID i nie tylko.

Nie pomagają apele lekarzy, ozdrowieńców czy osób, które w wyniku koronawirusa straciły najbliższych – internetowi eksperci wiedzą lepiej. Wchodząc z nimi w spór, należy spodziewać się, że kiedy zabraknie argumentów, dyskutant dowie się, że jest finansowany przez Sorosa, Kreml bądź wywiad amerykański (niepotrzebne skreślić). Pomijając fakt, że głoszenie bzdur powinno być karalne, w jak bardzo dziwny sposób należy pojmować moralność, by wmawiać innym osobom, że wirusa nie ma, a najbliżsi, złożeni chorobą, najpewniej robią sobie żarty?

Zapraszam więc na wykłady „Etyka w praktyce – wersja internetowa. Tematy wybrane"

Fascynująca, pod kątem etyki, jest również dynamika komentarzy internetowych, w momencie, gdy osoba publiczna zapada na koronawirusa. W zależności kim jest osoba chora oraz jakie reprezentuje poglądy polityczne, internetowi eksperci bądź życzą szybkiego powrotu do zdrowia bądź szybkiej śmierci, okraszając swoją wypowiedź obowiązkowym „karma wraca".

Photo by Ludovic Toinel on Unsplash

Wykład 2: Aborcja i prawo kobiety do decydowania o własnym ciele

Temat radykalnego zaostrzenia prawa aborcyjnego rozgrzewa społeczeństwo od października zeszłego roku. Spotykaliśmy się na ulicach, protestując, wyrażając swoje racje i próbując zmienić podjęte decyzje, obecnie – spór trwa w większości w rzeczywistości wirtualnej.

Od niezawodnych ekspertów dowiedzieć się możemy, że kobiety, które protestują, to rozwiązłe kurwy, które nie mogą utrzymać złożonych nóg, że w momencie zajścia w ciążę ciało nie należy do kobiety, ale staje się dobrem ogólnym, do którego prawo ma państwo, kościół, że dziecko (rozumiane jako zapłodniona zygota) jest dobrem najważniejszym, oczywiście, do momentu wydania na świat. Ewentualnie internetowe grono profesorskie dokona oceny atrakcyjności fizycznej uczestniczek marszów, by orzec, że ich zaangażowanie w protesty wynika, tak naprawdę, z kompleksów i brzydoty, bo gdyby były ładne, to z radością oddawałyby się obsługiwaniu męża i rodzeniu dzieci.

Tutaj w rolach eksperckich najlepiej spełniają się mężczyźni, w szczególności stanu duchownego bądź zaawansowani wiekowo, którzy przekonani są o swojej społecznej roli moralnego kompasu i nauczycieli życia rodzinnego, które najczęściej znają z teorii.

Wykład 3: Jesteś brzydka

Pomimo prób zmiany zwyczaju postrzegania innych przez jeden obowiązujący kanon urody oraz ruchów społecznych skupionych na budowaniu pewności siebie bez względu na wygląd, nadal pozostajemy ekspertami w ocenie powierzchowności innych.

Internetowi eksperci, bezpiecznie schowani za laptopem, z kont, gdzie brakuje choćby jednego ich zdjęcia, z radością oceniają aparycję drugiego człowieka. Jakikolwiek artykuł na portalu plotkarskim jest festiwalem haset „ale gruba", „ale chuda", „ale brzydka", „ale zrobiona", „przydałoby się ten ryj przerobić", „ale blachara", „ale cellulit", „ale grube nogi", „ale małe usta", „ale karpi dziób", „ale głupia", „ale musiała dawać, skoro ma tyle pieniędzy".

Dając upust swojej frustracji, wyżywając się na innych za swoje rzeczywiste / rzekome braki, internetowi nauczyciele dają przykład N-etyki: najważniejsze, żebym ja czuł się dobrze, a pozostali – niech czytają moje mądrości i wyciągają wnioski. W końcu i tak nie wiedzą, kim jestem. Pomimo że nie każdy jest predestynowany do roli nauczyciela, ba!, nawet ucznia, zgodnie ze słowami poetki:

W roli wykładowców: internetowi eksperci od spraw wszelakich, bez potwierdzonych kwalifikacji w żadnej z dziedzin, w której zaraz wygłoszą wykład

Choćbyśmy uczniami byli
najtępszymi w szkole świata,
nie będziemy repetować
żadnej zimy ani lata.

A i tematów na odczyty nie zabraknie: jest przecież polityka, walka z PiS, jest krytyka totalnej opozycji, ale i oferty programowej Telewizji Polskiej, kreacje celebrytek, czy zarobki lekarzy.

Zapraszamy więc na kolejne wykłady naszych ekspertów! ●

MAGDALENA M. KAJ

Poznanianka z urodzenia, warszawianka z wyboru. Z wykształcenia politolog, przez wiele lat pracowała w sektorze pozarządowym w Polsce i Wielkiej Brytanii. Aktywistka, od prawie 20 lat zaangażowana w działalność społeczno-polityczną oraz dialog międzykulturowy.

„Tak umierają demokracje"

Dwa lata temu książka tego typu nie powstałaby: dwójka wiodących politologów, ekspertów w zakresie kryzysów demokracji w różnych częściach świata, wykorzystuje swoją wiedzę do tego, by uświadomić Amerykanom zagrożenia, przed jakimi obecnie stoi ich własny system polityczny.

Francis Fukuyama

Levitsky i Ziblatt to wiodący badacze systemów demokratycznych, opisują przykłady z wielu zakątków świata, z ogromnym zapałem i uczciwością wykorzystują swoją wiedzę do analizowania bieżących problemów, z jakimi borykają się Stany Zjednoczone. (...) Dzięki temu Czytelnik nie tyko odczuwa intelektualne podekscytowanie, lecz także jest świadom zawartej w tej książce politycznej przestrogi.

Timothy Snyder

BIBLIOTEKA LIBERTÉ!

L!

Kup bezpośrednio: sklep.liberte.pl

PANDEMIA: UCIECZKA Z WIELKICH MIAST. CZY KLASA ŚREDNIA ZMIENI OBLICZE POLSKICH WSI I MIASTECZEK?

JAROSŁAW MAKOWSKI

To miasta stanowią swoisty rodzaj magnesu, jawią się jako centra gospodarcze, społeczne i kulturalne, które przyciągają ludzi, a nie państwa. Ludzie chcą żyć w Londynie czy Paryżu, a nie we Francji czy w Wielkiej Brytanii. Rację miał więc nieżyjący amerykański politolog Benjamin Barber, który powtarzał, jeżdżąc z wykładami po świecie, że to miasta są naszym przeznaczeniem.

Photo by Anthony Reungère on Unsplash

1.

Doskonale przypominam sobie te rozmowy. Rozmowy o miastach, w których chcieliśmy mieszkać, pracować, bawić się, spędzać wolny czas. Szczególnie z młodymi ludźmi. Gdy jeszcze dwa lata temu pytałem młodych ludzi, gdzie chcieliby mieszkać, najczęściej pada odpowiedź: „Londyn, Barcelona, Amsterdam". W sumie nic w tym dziwnego! Któż z nas nie chciałby mieszkać w Barcelonie? Jednak daje do myślenia, że gdy tylko głębiej dopytywałem moich rozmówców, okazywało się, że Barcelona równie dobrze mogłaby znajdować się w Wielkiej Brytanii lub Polsce. Nie miał znaczenia bowiem fakt, że miasto to znajduje się w Hiszpanii. To zaś, co istotne, to to, że stolica Katalonii jest ekscytującym i przyjaznym dla swych mieszkańców miastem. To miasta stanowią swoisty rodzaj magnesu, jawią się jako centra gospodarcze, społeczne i kulturalne, które przyciągają ludzi, a nie państwa. Ludzie chcą żyć w Londynie czy Paryżu, a nie we Francji czy w Wielkiej Brytanii. Rację miał więc nieżyjący amerykański politolog Benjamin Barber, który powtarzał, jeżdżąc z wykładami po świecie, że to miasta są naszym przeznaczeniem. Byliśmy więc przez chwilę świadkami miejskiej rewolucji: zmniejsza się rola kraju, a rośnie rola miasta. I eksplozji emigracji ludzi do miast: socjologowie przewidywali, że w ciągu najbliższych czterdziestu lat liczba mieszkańców Ziemi wzrośnie z 6,5 do 9 miliardów. Największy przyrost ludności przypadnie na miasta, w których będzie wówczas żyło aż dwie trzecie mieszkańców globu (obecnie połowa).

2.

Ta miejska rewolta zagościła także w Polsce. Przede wszystkim pod hasłem, jakie forsowały skutecznie ruchy miejskie, krzycząc: „Mamy prawo do miasta". My, obywatele. My, mieszkańcy. Zarazem odsłoniły się dwie perspektywy rozwoju miejskiej rewolucji. Bo na miasto można spojrzeć z dwóch perspektyw - z perspektywy ptaka (z góry) i z perspektywy żaby (z dołu). Gdy przyglądamy się miastu z tej pierwszej, widzimy najbardziej spektakularne budowle. Przykładowo: w Katowicach widzielibyśmy Spodek, budynek NOSPRu, Muzeum Śląskie czy Międzynarodowe Centrum Kongresowe. Taka perspektywa zapiera dech w piersiach. Przywołane tu obiekty dominują nad miastem. Budzą podziw i zachwyt. Miasto widziane z tej perspektywy wygląda, co tu dużo kryć, monumentalnie: każdy z nas wie, jakie wrażenie robią na nas zdjęcia przywołanych obiektów robione z drona. Budzą następujące myśli:

Aby ocenić jakość życia w mieście, należy, jak sądzę, porzucić kuszącą perspektywę ptaka

chcę do tego miasta pojechać, muszę te cuda architektury zobaczyć.

Ale czy to jest perspektywa, która oddaje nam prawdę o mieście? Mieście, które – jak przecież wciąż powtarzamy, bo nauczyliśmy się już tego od duńskiego urbanisty Jana Ghela – ma „być dla ludzi" i na „ludzką miarę"? Aby ocenić jakość życia w mieście, należy, jak sądzę, porzucić tę kuszącą perspektywę ptaka. I trzeba przyjąć – co tu dużo kryć – mało spektakularną perspektywę żaby. Trzeba zobaczyć, ba, doświadczyć miasta z perspektywy oddolnej, gdzie nie będzie widoków zapierających dech w piersi budynków. Nie zobaczymy tak dokładnie tych rozwiązań urbanistów/architektów, których celem (szkoda, że czasami jedynym), jest wprawienie nas w zachwyt i podziw. Przyjmując perspektywę żaby, doświadczasz miasta w jego codziennym życiu, jego całodobowym pędzie, jego otwartości na ciebie, jako mieszkańca, jego użyteczności, która ma sprawiać, że tobie, jako podmiotowi miejskiej urbanistyki i miejskiej polityki władz miasta, żyje się po prostu dobrze i komfortowo.

Czegóż więc doświadczamy, przyjmując perspektywę żaby? Otóż przyjmując tą oddolną perspektywę przekonujemy się po kilku godzinach, czy „używane miasto", jest krojone na ludzką skalę. A więc wychodząc z domu, przekonujemy się, czy chodniki są równo położone. Jadąc do pracy przekonujemy się, czy transport publiczny jest przyjazny: tu w grę wchodzi nie tylko

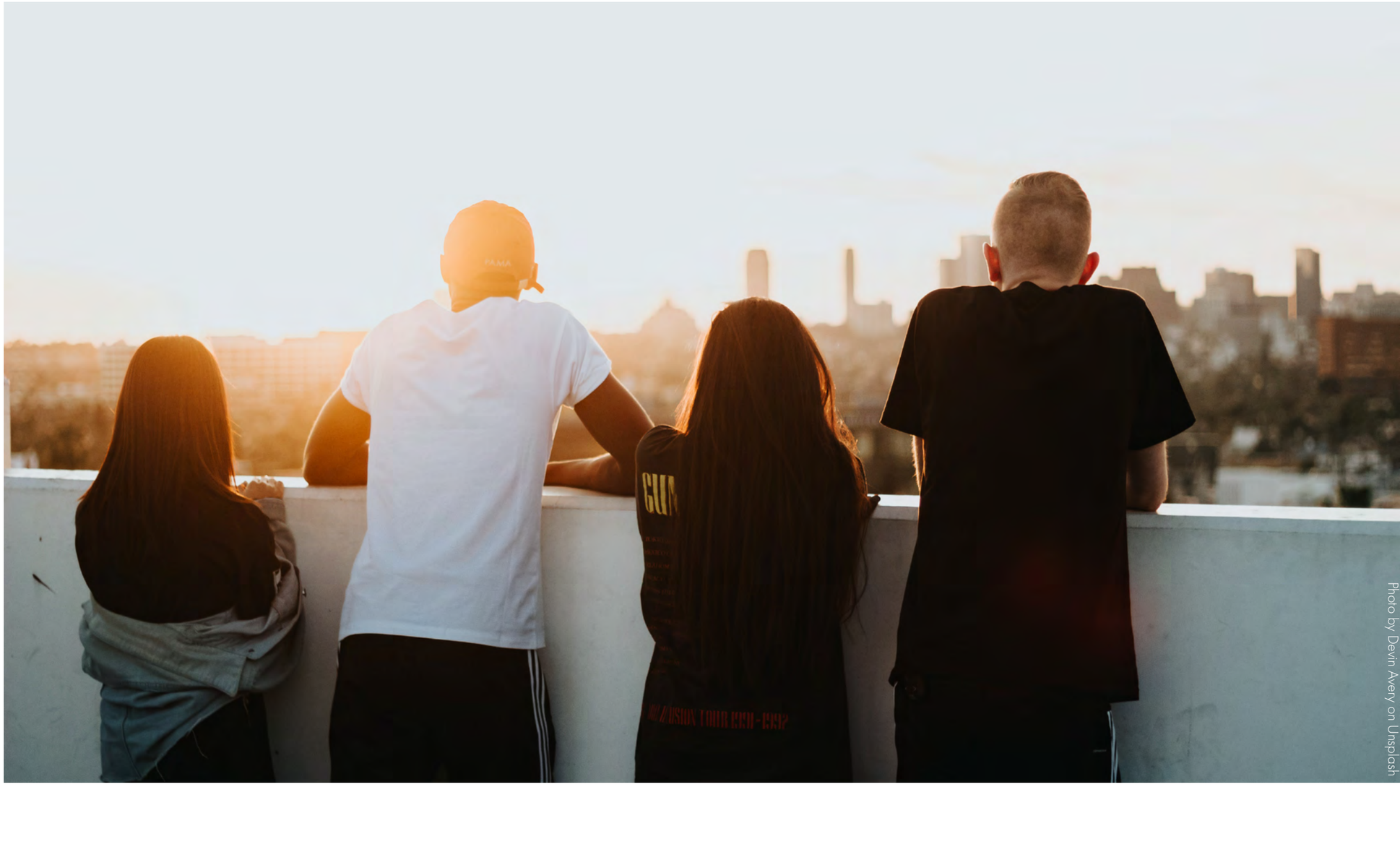

Photo by Devin Avery on Unsplash

Photo by Scott Blake on Unsplash

punktualność autobusu czy tramwaju, ale także, czy przystanki są dobrze zlokalizowane, czy jakość transportu jest komfortowa - zimą jest w autobusie ciepło, a latem działa klimatyzacja. Gdy po pracy z dzieckiem wybieramy się na spacer, chcemy nie tylko mieć w pobliżu plac zabaw, ale także tereny zielone. I to w odległości kilku minut spacerem. Gdy chcemy zrobić zakupy, powinniśmy mieć pod ręką sklep, który oferuje podstawowe produkty. Albo, gdy wieczorem zechce nam się spotkać innych/obcych ludzi, powinniśmy wiedzieć, że istnieją miejsca – kawiarnie czy restauracje – w których spotkamy naszych sąsiadów, by móc z nimi podyskutować o sprawach boskich i ludzkich.

Patrząc na miasto z tej właśnie perspektywy, dopiero możesz odpowiedzialnie powiedzieć, czy żyjesz w przyjaznym mieście, czy też miasto jest krojone pod „chwilowych oglądaczy", którzy nawiedzają je, aby zobaczyć jeden czy drugi budynek, a potem szybko się pakują i wracają do domu. Zgoda: perspektywa żaby nie jest spektakularna. Ale jest użyteczna. Jest kryterium, które – ostatecznie – stosujemy, gdy decydujemy się, gdzie chcemy zamieszkać. Założyć firmę. Odpoczywać. Perspektywa żaby to punkt widzenia codziennych użytkowników miasta, którzy mają nie tylko prawo do miasta, ale mają prawo do miasta przyjaznego. Powiem otwarcie: nie ufam miastu, które chełpi się jedynie spektakularnym muzeum czy filharmonią. Jeśli są publiczne pieniądze, to nie jest problemem wybudować taki jeden czy drugi obiekt. W Polsce jest dość zdolnych

architektów, których prace budzą powszechny – nie tylko lokalny – zachwyt. Pokażcie mi jednak w Polsce miasto, które budowałoby swój wizerunek nie przez pryzmat tej „architektury spektaklu", ale przez pryzmat codziennej użyteczności. Czy nie chcielibyście, aby śląskie miasta były znane w Polsce i Europie z tego, że mamy najlepszy zintegrowany transport publiczny? Aby nasze miasta nie królowały wśród tych, które mają najgorszej jakości powietrze w Europie?

Oczywiście mógłbym tak jeszcze długo stawiać retoryczne pytania. Nie o to idzie. Chodzi mi o to, aby teraz, gdy miasta stają twarzą w twarz z pandemią, tym bardziej przyjąć punkt widzenia żaby.

Powiem otwarcie: nie ufam miastu, które chełpi się jedynie spektakularnym muzeum czy filharmonią

Perspektywę, która sprawia, że w centrum tego ważnego i spektakularnego procesu, któremu będzie się przyglądać cała Polska, jest człowiek. I jego egzystencjalne bezpieczeństwo.

3.

Powiedz mi, jak miasto dba o bezpieczeństwo i zdrowie mieszkańców, a powiem ci, czy chciałbym w takim mieście zamieszkać. Czy polskie miasta już wiedzą, że to będzie podstawowe kryterium decydujące o ich atrakcyjności? I czy nadejście pandemii koronawirusa zburzy ten rosnący potencjał miast? Czy też przeciwnie: kryzys pokaże, że to właśnie miasta są tymi ośrodkami, które lepiej radzą sobie z sytuacjami niepewności i ryzyka?

Aby odpowiedzieć na te pytania, skupię się na mieście, w którym mieszkam i które znam najlepiej - także z racji tego, że jestem radnym – czyli na Katowicach. Oczywiście wychodząc od analizy lokalnej, postaram się jednak przedstawić wnioski, które będą miały już charakter bardziej ogólny. Jeśli bowiem coś może działać w Katowicach w ramach miejskich innowacji, to sprawdzi się również w Hamburgu czy Nowym Jorku. I odwrotnie. Zacznijmy jednak od prostego faktu, który wiąże się z pojawieniem koronawirusa w naszych miastach, a który dało się odnotować w czasie tych 12 miesięcy trwania pandemii.

Zatem, po pierwsze, wobec zagrożenia zewnętrznego (i mało istotne, czy to jest powódź, huragan, czy wirus) rośnie poczucie lokalnych więzi i solidarności. To w takich sytuacjach rodzi się świadomość wspólnego losu. Do ludzi, mieszkańców miasta, dociera ta prosta prawda, że miasta to ich większy – wspólny – dom. Dom, którego muszą przed zagrożeniem bronić, w którym muszą się urządzić tak, by czuć się bezpiecznie, w którym muszą przestrzegać nowych reguł, by zwalczyć zagrożenie. Innymi słowy: sytuacja krytyczna buduje więź i solidarność, która jest niezbędna, aby tworzyć miejską wspólnotę i kapitał zaufania ludzi do władz, jak i mieszkańców między sobą.

Tę nową miejską solidarność widzimy także w Katowicach (ale i w innych polskich miastach), gdzie ludzie pomagają sobie wzajemnie, gdzie mieliśmy społeczne szycie maseczek dla seniorów, gdzie - jak w Katowicach – Związek Górnośląski organizuje akcję Jedzenie dla Medyka, a fundacja Wolne Miejsce rozwozi obiady dla samotnych i potrzebujących – lub też osób, które zostały poddane kwarantannie. Ta nowa więź, jaka się tworzy, nie może być przez miasto zmarnowana, ale musi być wzmocniona.

Do ludzi, mieszkańców miasta, dociera ta prosta prawda, że miasta to ich większy – wspólny – dom

Po drugie, władze miast musiały odpowiedzieć na naturalną w czasie kryzysu potrzebę bezpieczeństwa. I znów: nie jest tajemnicą, że wielu Polaków z nieufnością patrzy, jak państwo wykorzystuje lęk przed wirusem, by przemycać przepisy i zakazy ograniczające naszą wolność. Przepisy, które pomagają podejmować władzy decyzje bez żadnych konsekwencji czy inwigilować ludzi. Najbardziej kuriozalnym przepisem był zakaz wchodzenia do lasu, który po kilku dniach został uchylony. Takie działania nie budują zaufania do państwa. Inaczej w miastach: codzienne raporty z podejmowanych działań, które publikowali prezydenci wielkich miast sprawiły, że mieszkańcy poddawali się nowemu reżimowi organizacyjnemu (mniej ludzi w pojazdach transportu publicznego), czy sanitarnemu (dezynfekcja przestrzeni miejskiej, od ławek poczynając, a na przystankach kończąc). Mieszkańcy w działaniach podejmowanych przez miasto dostrzegli troskę o ich bezpieczeństwo, w działaniach podejmowanych przez państwo próbę zamachu na swoją wolność. Dlatego nie zdziwię się, jeśli rola samorządności po doświadczeniu koronawirusa zdobędzie nowych zwolenników.

Po trzecie, szybkość reakcji: państwo reaguje wolniej, miasto szybciej. Państwo potrzebuje decyzji politycznych, co jest czasami trudne przy głębokich antagonizmach, jakie mamy choćby w Polsce. W mieście ludzie mając poczucie, że to ich dom, szybciej znajdują kompromis. Kiedy w sejmie trwały przepychanki w sprawie tzw. tarcz antykryzysowych, w Katowicach jako radni zgłaszaliśmy pomysł powołania 3xP: pakiet dla przedsiębiorców, pakiet dla organizacji pozarządowych i pakiet dla kultury. To mechanizmy

pozwalające, w różnych obszarach, pomóc miejskim podmiotom - od przedsiębiorców, poprzez aktywistów, po artystów - przejść łagodniej trudny czas.

Gdy zaczął się kryzys, zachęcałem na swoich mediach społecznościowych do kupowania na wynos u lokalnych restauratorów. To samo robili mieszkańcy, wspierają swoje lokalne bistra, zamknięte w ramach narodowego lockdownu. Miasto potem zrobiło listę takich miejsc w Katowicach, przyłączając się do promocji. A więc: miasto także, podglądając, jak samoorganizują się mieszkańcy i podchwytując ich pomysły, reaguje szybciej niż państwo. To wszystko sprawia, że dziś miasta lepiej dają sobie radę z niwelowaniem skutków koronawirusa. Ale ważne jest też to, jak będzie wyglądać sytuacja, kiedy wirus nie będzie już w takim stopniu wpływał na nasze życie, a zarazem jego konsekwencje wciąż będą odczuwalne. Dlatego kluczowe pytanie, przed jakim stoimy, brzmi: jak planować miasta po COVID-19?

Jedno jest pewne: koronawirus to pierwszy z globalnych wstrząsów, a nie ostatni. Za chwilę, jak wszystko na to wskazuje, będziemy musieli stawić czoła suszy. Dlatego miasta muszą być tak zarządzane, by były przygotowane na rozmaitego rodzaju kryzysy. Na pierwszy plan w tym kontekście wysuwa się kwestia bezpieczeństwa - miasta nie mogą już oszczędzać na służbach publicznych: od służb medycznych poczynając, a na bezpieczeństwie kończąc. To dziś musi stać się jednym z głównych priorytetów miejskiej polityki.

Dalej, czystość i higiena. Jeżeli, jak pisałem, miasto to większy dom, to musimy, jak w domu, dbać o czystość. Koniec z zaśmieconymi ulicami. Koniec z nieregularnym odbiorem śmieci, które zalegają na ulicach. Koniec z dzikimi wysypiskami śmieci. To zadanie nie tylko dla miejskich służb, ale także dla nas, mieszkańców. Bo często sami zaśmiecamy miejską przestrzeń. Krótko: miasto, które będzie miało opinie brudnego, zaśmieconego, będzie szerokim łukiem omijane przez potencjalnych nie tylko turystów czy inwestorów, ale także porzucane przez obecnych mieszkańców.

Miasto, które będzie miało opinie brudnego, zaśmieconego, będzie szerokim łukiem omijane przez potencjalnych nie tylko turystów czy inwestorów, ale także porzucane przez obecnych mieszkańców

I rzecz ostatnia: nowa miejska przestrzeń. Będziemy potrzebowali jej więcej, by zachować

Photo by Daniele Colucci on Unsplash

odpowiedni dystans. Dlatego, jak świat długi i szeroki, centra miast przyjmują nową formę: kosztem parkingów i dróg dla aut, wydzielane są pasy i przestrzenie dla pieszych i rowerzystów. Do zabetonowanych przestrzeni musi wrócić zieleń. Paradoksalnie coś, o co już dawno apelowaliśmy jako miejscy aktywiści, dziś musimy wprowadzać ze względu na nasze bezpieczeństwo. Ta przestrzeń jest też potrzebna dla ogródków kawiarnianych, które muszą zacząć funkcjonować w nowym reżimie sanitarnym. Nowa polityka przestrzenna

Zamiast szukać terenów zielonych poza miastem, musimy je stworzyć w centrum naszych miast. I znów: dla naszego bezpieczeństwa i zdrowia

to szansa na uspokojenie życia w centrum miasta, zgodnego z naturalną potrzebą człowieka. To więcej zieleni, więcej łąk kwiatowych, więcej drzew. Zamiast więc szukać terenów zielonych poza miastem, musimy je stworzyć w centrum naszych miast. I znów: dla naszego bezpieczeństwa i zdrowia.

4.

Choć wielkie miasta robią wiele, żeby dać nam poczucie bezpieczeństwa, to trend dla nich - po roku życia z COVID – nie rysuje się jasny. Trwa ucieczka. Ludzie się boją. Żyją w strachu. Pandemia sprawiła, że miasta przestały być dla ludzi – szczególnie z małych miasteczek i wsi – „ziemią obiecaną". Miasta stały się niebezpieczne. Choć dane tego nie potwierdzają, to panuje przekonanie, że tu – w mieście, w wielkiej metropolii – łatwiej się zarazić. Zresztą – strach zawsze towarzyszył życiu w mieście, choć dopiero pandemia COVID-19 w XXI wieku nam to uświadomiła z całą mocą. „Miasto jest dwuznaczne – pisze włoski filozof Marco Filoni. – Nie jest tylko miejscem harmonii, schronienia. Jest również miejscem strachu. I jakkolwiek staralibyśmy się formułować myśli mające nas pocieszyć, rozbroić strach, a więc odpędzić najdalej jak to możliwe, odnajdujemy go za każdym razem, nie przestaje nas dręczyć. Żywimy nadzieję, że zostawiamy go za bramą miasta, za drzwiami naszego domu. Następnie jednak odkrywamy, że znajdzie on jednak sposób, by przeniknąć do wnętrza". Dziś strach w mieście ma postać koronawirusa. Karetek stojących przed szpitalami, niemożności dostania się do lekarza, braku wolnych łóżek, rekordowych ilości zgonów: w 2020 r. zmarło nas 485 tys., w 2019 r. 409 tys., a w 1946 r. 242 tys. To najwięcej Polaków od czasów II wojny światowej. Miasto w czasie pandemii nie jest więc bezpiecznym domem, ale niebezpieczną pułapką.

Cóż więc robią mieszkańcy wielkich miast – ci sami, którzy jeszcze wczoraj pakowali cały swój dobytek, by ruszyć w drogę i zamieszkać w wielkiej metropolii? Trwa odwrót. Swoisty exodus z wielkich metropolii. Dobrze opisał go Jakub Dymek, który przytacza kilka ciekawych danych: miasta, które straciły najwięcej obywateli, to Nowy Jork, Los Angeles, Chicago. W pierwszym lockdownie, wiosną 2020 roku, ponad 150 tysięcy osób wymeldowało się z nowojorskich kodów pocztowych. Zyskały zaś małe i oddalone od wielkich centrów populacyjnych miejsca o przy-

Wolności od zarazy. A co ze stylem życia, który oferują wielkie miasta? Co z dobrze płatną pracą dla klasy kreatywnej?

jaźniejszym klimacie: takie w rodzaju Katy w stanie Teksas i Meridan w Idaho. Skoro wielkie firmy obiecują już swoim pracownikom telepracę do woli, to oczywista jest pokusa, by nie przepłacać za mikroapartament w Dolinie Krzemowej czy na Brooklynie, a inkasować tej samej wielkości czek co miesiąc w miejscu tańszym i przyjaźniejszym.

Dymek przyjrzał się także migracji w Polsce. Trend jest podobny: centra miast pustoszeją na rzecz pęczniejących ponad miarę obwarzanków. BIG Data GW wylicza, że „rekordzistą w przyroście ludności w latach 2010–2019 jest powiat wrocławski okalający stolicę Dolnego Śląska. W ciągu dekady przybyło tam aż ok. 27 proc. mieszkańców. Na kolejnych szczeblach rankingu są powiaty poznański (21 proc.) i gdański (20 proc.)".

Pomimo kryzysu gospodarczego i niepewności, w 2020 roku wydano w Polsce najwięcej pozwoleń na budowę domów rodzinnych od dekady i prawie udało się pobić rekord z 2008 roku. Należy rozumieć, że znaczna część z tych 100 tys. nowych domów powstanie poza miastami i coraz więcej na wsi. W górę poszły ceny działek i nieruchomości, spadły ceny najmu w miastach. Dodatkowo jeszcze zaczął się u nas istny boom na mikrodomy, które można stawiać praktycznie bez zezwoleń: wystarczy działka, media i projekt.

Podany kierunek migracji z wielkich miast na wieś widzimy także w krajach Europy Zachodniej – Włochy, Hiszpania, Portugalia. Dziś dla mieszczuchów, jak Europa długa i szeroka, wyjazd na wieś to nie tylko sposób na ucieczkę od zbyt szybkiego życia, ale przede wszystkim poszukiwanie bezpiecznej przestrzeni. Dziś, w dobie COVID-19, wieś to synonim bezpieczeństwa. Wolności od zarazy. A co ze stylem życia, który oferują wielkie miasta? Co z dobrze płatną pracą dla klasy kreatywnej?

5.

Po roku obecności pandemii w naszym życiu widać, że miejski styl życia, pracy, spędzania czasu wolnego, które były magnesem przyciągającym ludzi do wielkich metropolii, został zredefiniowany. To, co wydawało nam się niemożliwe, dziś jest chlebem powszednim. Oto sześć trendów, które zebrał Tomasz Kulas, a które budują „Normalność 2.0" - dodajmy, normalność pozamiejską.

Po pierwsze: wiemy już, że jedną z głównych ofiar lockdownu są miasta. Pozamykane sklepy, galerie handlowe, muzea, kina, restauracje i knajpy odbierają miastu życie. Tętniące wcześniej centra metropolii zaczynają przypominać cmentarze. Ludzie w oczywisty sposób szukają wydostania się z tej swoistej pułapki - nie tylko zamknięcia, ale i depresyjnego otoczenia, którego symbolem są pozamykane centra życia rozrywkowego

i kulturalnego. Moi znajomi, szczególnie ci, którzy posiadają małe dzieci, podczas lockdownu uciekają więc za miasto: albo do swoich rodziców na

W czasach powszechnego użytkowania Netflixa i YouTube'a ciężko mówić o tym, że to dopiero dzięki pandemii ludzie „odkryli rozrywkę w internecie"

wieś, albo do domów, które - na wsi, wśród ciszy i natury - jawią się jako najlepsze miejsce do życia w czasie pandemii.

Po drugie, jednym z efektów pandemii jest powszechność pracy zdalnej. Już nie siedzenie w biurze, ale dostępność za pomocą łączy się liczy. Wystarczy zatem dobry internet. Badania pokazują, że ponad połowa (54 proc.) osób, które zaczęły pracować zdalnie ze względu na COVID 19, deklaruje, że chce wykonywać swoje obowiązki w ten sposób również po wygaśnięciu pandemii. Aż 75 proc. badanych stwierdziło natomiast, że chce pracować z domu przynajmniej częściowo. Korzyści płynące z pracy zdalnej: większa efektywność, lepsze skupienie, mniejszy stres czy brak problemów z dojazdem. Pracodawcy, którzy liczą dziś każdy grosz, wskazują też, że praca zdalna, to niższe koszty pracy, zwłaszcza w wyniku obniżenia kosztów lokalowych. Nic nie wskazuje, byśmy mieli wrócić do pracy stacjonarnej w takim stopniu, w jakim było to przed pandemią.

Po trzecie, nie potrzebujesz galerii handlowej, bo handel przeniósł się do sieci. W pierwszym tygodniu po ponownym otwarciu galerii handlowych (w maju 2020 roku) ruch klientów wynosił jedynie ok. 40 proc. stanu sprzed pandemii, natomiast w czerwcu – według danych Polskiej Rady Centrów Handlowych – ustabilizował się na poziomie ok. 77 proc. Większość sprzedawców postawiła jednak w ostatnim czasie na rozwój sprzedaży w kanale cyfrowym, co m.in. spowodowało, że część sieci (np. Empik, LPP) zdecydowała o ostatecznym zamknięciu niektórych sklepów.

Po czwarte, formalności prawne i finansowe załatwiamy online. Wizyty w urzędzie skarbowym, ZUS-ie, spotkania wspólników czy nawet zwykłe kontakty z biurem księgowym były dla wielu przedsiębiorców argumentem uzasadniającym prowadzenie biznesu w wielkim mieście. Obecnie nie ma to już aż tak dużego znaczenia, choć nadal pojawiają się sytuacje, w których załatwienie pewnych spraw poprzez internet lub telefon jest niemożliwe. Jednak te podstawowe załatwiamy online.

Po piąte, edukacja przenosi się do sieci. Dla klasy średniej to był główny argument – mieszkamy

w wielkim mieście, by stworzyć dobre warunki rozwoju naszych dzieciaków. Żłobek, dobre przedszkole czy szkoła, łatwiejszy dojazd komunikacją miejską to zdecydowane „przywileje" uczniów korzystających z edukacji na terenie metropolii. Znaczenie tego czynnika w ostatnich miesiącach zdecydowanie spadło. Nawet jeśli dzieci wrócą do przedszkoli, szkół podstawowych i średnich, nauczanie online (zwłaszcza w przypadku najlepszych placówek) stało się realną i powszechnie dostępną alternatywą. Jeszcze mocniej to zjawisko dotyczyć będzie uczelni, więc wybieranie przez pracowników mieszkań w dużym mieście ze względu na edukację dzieci nie jest już tak istotne.

I rzecz ostatnia: rozrywka i integracja online. Jedne z ostatnich bastionów miejskiej rozrywki, które nie wiążą się z internetem – teatry, kina, muzea i koncerty – stanęły w ostatnim czasie przed krytycznymi wyzwaniami. Ale i one potrafiły przenieść swoje wydarzenia do sieci. W czasach powszechnego użytkowania Netflixa i YouTube'a ciężko mówić o tym, że to dopiero dzięki pandemii ludzie „odkryli rozrywkę w internecie". Zmieniło się jednak coś bardzo istotnego – wiele spotkań, zwłaszcza firmowych, o charakterze integracyjnym rzeczywiście przeniosło się do sieci. Coraz więcej firm stawia na tę formę budowania więzi i współpracy między osobami z jednej organizacji, wzmacniania poczucia zaangażowania i identyfikacji. Miejskie ośrodki wspólnej rozrywki i spotkań nie są już więc tak potrzebne jak przed pandemią.

6.

I wreszcie dotarliśmy do punktu, w którym trzeba zadać ostatnie pytanie: jakie konsekwencje dla życia społecznego i politycznego będzie miała ucieczka klasy średniej i nowych mieszczan z wielkich metropolii na wieś i do małych miasteczek? To jest być możne najciekawszy element, który nie został do tej pory w ogóle zauważony.

Jak pisałem na początku, wielkie miasta w pewnym sensie dokonywały drenażu talentów z małych wsi i miasteczek, gdy przyciągały najbardziej kreatywne jednostki. Kumulacja ludzi kreatywnych, przebojowych w metropoliach była więc duża. Pandemia zahamowała ten trend. Nie tylko, że klasa średnia zaczęła uciekać z miast na wieś, szukając bezpieczeństwa, ale – co również ciekawe – studenci w czasie pandemii zostali w swoich rodzinnych miejscowościach, gdyż nauczanie odbywało i odbywa się zdalnie. A zostali, bo nie było sensu porzucać rodzinnego domu, gdzie „wikt i opierunek" jest zapewniony i jechać do – dajmy na to – stolicy, aby tam w wynajmowanej kawalerce uczestniczyć w zajęciach uniwersyteckich. Jaki zatem wpływ ma „rozproszenie" klasy średniej w małych miastach i wsiach na dynamikę życia społecznego i politycznego?

Otóż stawiam następującą tezę: w tym samym czasie, w którym młodzi ludzie, klasa kreatywna i klasa średnia, prowadzili swoją życie w małych miastach i wsiach, wybuchł Strajk Kobiet. Media rozpisywały się o zasięgu protestu, jaki jesienią 2020 roku osiągał bunt kobiet. Uwagę przykuwał także fakt, że do protestów dochodziło w małych miastach, jak Sochaczew, Limanowa czy Wadowice, co do tej pory było niespotykane i nieobecne. Presja społeczna w małych miejscowościach i wsiach była raczej taka, żeby nie sprzeciwiać się władzy. To oczywiście efekty tego, że wszyscy się znają, a udział w manifestacji, to – w tak małych środowiskach – akt polityczny. Dodatkowo, co nie jest tajemnicą poliszynela, w tych miejscowościach wciąż dużą władzę symboliczną ma ksiądz. Uczestnictwo więc w Strajku Kobiet, to narażenie się na wytykanie palcami, czy bycie przywołanym do porządku podczas niedzielnej mszy przez miejscowego wielebnego. A jednak podczas Strajku Kobiet dochodziło tam do protestów i manifestacji!

W dużym stopniu, choć nie ma na to żadnych badań, odwagą protestowania wykazywali się ludzie młodzi, studenci, a także migrująca z metropolii na wieś klasa średnia. To pokazuje, że czasami tyranię przymusu siedzenia cicho może przełamać kilka osób, które mają odwagę wyjścia na ulicę dla zademonstrowania niezadowolenia.

To pokazało kobietom z mniejszych miejscowości i wsi, że nie są same, że oto są inne kobiety i mężczyźni, którzy nie boją się protestować, a jednocześnie zmieniać świadomość w miejscach, w których zaczęli nowe życie, czy choćby przez ostatnie miesiące – z racji pandemii – mieszkają. Albo, jako studenci, czekają na koniec pandemii.

Jaki z tego płynie wniosek? Pandemia może przyczynić się do zakwestionowania podziału na liberalne miasta i konserwatywne miasteczka czy wsie. Jeśli klasa średnia zdecyduje, że – w ramach szukania bezpieczeństwa i bliskości natury –zamieszka poza wielkimi metropoliami, kto zmieni się także struktura społeczna i ideologiczna wsi i miasteczek. Być może jednym z nieoczekiwanych efektów pandemii będzie nie tylko ucieczka klasy średniej z metropolii na wieś, ale także jej ideologiczne oddziaływanie, które może przełożyć się także w niedalekiej przyszłości na postawy wyborcze.

Tekst jest równolegle publikowany na stronie Instytutu Obywatelskiego. ●

JAROSŁAW MAKOWSKI

Filozof, publicysta, szef Instytutu Obywatelskiego, think tanku Platformy Obywatelskiej, samorządowiec, radny miasta Katowice, były radny Sejmu Śląskiego, miejski aktywista, pomysłodawca katowickiego stowarzyszenia BoMiasto, założyciel i redaktor kwartalnika „Instytut Idei". Autor między innymi: „Wariacje Tischnerowskie" (2012), „Pobudka Kościele" (2018). Jego najnowsza publikacja to „Kościół w czasach dobrej zmiany" (wydawnictwo Liberte!)

CZY KAŻDY MUSI BYĆ WYKSZTAŁCONY?

ANNELISE MISTEL

Czy przewodniczący Platformy Obywatelskiej miał rację? W pewnym sensie owszem, ponieważ trudno się nie zgodzić, że system oświaty wymaga zmiany. Ale czy faktycznie wina leży w kierunkach humanistycznych, a „państwo finansuje naukę ludzi, którzy nie będą mieli po nich zatrudnienia”?

Photo by Brett Jordan on Unsplash

Ostatni wywiad „Gazety Wyborczej” z Borysem Budką wywołał duże poruszenie w mediach. Lider opozycji podkreślił konieczność zmodernizowania nauki, sugerując, że w tym celu należy ograniczyć kierunki humanistyczne, które w jego ocenie nie „spełniają oczekiwań nowoczesnego państwa”. Czy przewodniczący Platformy Obywatelskiej miał rację? W pewnym sensie owszem, ponieważ trudno się nie zgodzić, że system oświaty wymaga zmiany. Ale czy faktycznie wina leży w kierunkach humanistycznych, a „państwo finansuje naukę ludzi, którzy nie będą mieli po nich zatrudnienia”?

Papier dla każdego

Podstawowy problem, który spowodował spadek jakości kształcenia w Polsce, leży w zmianie mentalności społecznej i sięga okresu transformacji. W okresie PRL-u młodzi ludzie wybierali różne ścieżki edukacyjne. Ci, którzy planowali podjąć studia wyższe, decydowali się na liceum, ale bardziej zainteresowani konkretnym fachem (bądź nie do końca zdecydowani) mieli do wyboru jeszcze technika lub zawodówki. Te, co prawda, nie zniknęły wraz z końcem komunizmu, ale opinia na ich temat drastycznie się zmieniła. Utarło się myślenie, że liceum oraz studia gwarantują pewniejszy sukces, więc rodzicom coraz bardziej zależało, żeby ich dziecko koniecznie skończyło edukację na stopniu przynajmniej licencjata. W wielu przypadkach był to wyraz nadziei, że młodsze pokolenie dzięki dyplomowi uczelni wyższej uzyska przepustkę do życia na przyzwoitym poziomie (lub wręcz awans społeczny) i w tym duchu je wychowywano. Uczęszczanie do szkół zawodowych zaczęło być coraz bardziej kojarzone z niskim ilorazem inteligencji czy słabymi wynikami w nauce. Uczniowie ostatnich klas gimnazjów żartowali sobie ironicznie, że jeśli źle pójdzie im egzamin, to zawsze czeka takie czy inne technikum, którego wymagania rekrutacyjne miały być śmiesznie niskie. Jednocześnie te żarty nosiły w sobie znamiona śmiertelnego strachu. Ukończenie liceum, a następnie uczelni, zaczęło być błędnie postrzegane jako bezwzględny warunek większego szacunku.

Wraz z popytem na dyplomy zaczęły powstawać prywatne uczelnie wyższe. Tylko nieliczne z nich mogły się jakością kształcenia równać do uczelni publicznych. Nie cieszyły się rewelacyjną opinią, ale lepszą niż brak studiów czy skończenie zawodówki, więc nie brakowało klientów. Zresztą takie uczelnie stały się bardzo szybko świetnym rozwiązaniem dla kandydatów, którzy z różnych powodów nie dostali się na państwową uczelnię, albo chcieli łatwiejszych studiów, dających więcej czasu dla siebie. Niemniej jednak, rosnąca liczba takich placówek stwarzała ryzyko, że niewystarczająca liczba maturzystów mogłaby się skończyć dla wielu z nich bankructwem, dlatego bardzo mocno stawały one w obronie rozwiązań zwiększających ich liczbę. Niestety w praktyce oznaczało to ob-

niżanie wymagań z matury. W końcu dobrze, żeby każdy miał możliwość ten dyplom zdobyć.

W tym celu wprowadzono szereg zmian, które przyczyniły się do znacznego zwiększenia liczby Polaków z wyższym wykształceniem. Zniesiono egzaminy na studia i obniżono wymagania. Na przykład, jeśli na kierunek językowy w starym systemie trzeba było zdać wymagający egzamin, teraz wystarczało na maturze jakoś napisać rozszerzenie, a o przyjęciu na studia decydowało to, czy wynik zmieścił się w liczbie miejsc. W rezultacie na jednym roku uczyły się zarówno osoby bliskie biegłości językowej, jak i takie, których poziom był zdecydowanie niższy. Jednocześnie w procesie rekrutacji wystarczyło tylko wpisać wyniki z matur, więc niezdecydowani mogli wybierać nawet z kilkunastu kierunków zupełnie ze sobą niespokrewnionych.

Szybko okazało się, że pewne kierunki zaczęły być bardziej popularne wśród kandydatów. Zwłaszcza te, gdzie nie ma aż tak zaciekłej rywalizacji lub bardziej dostępne rekrutacyjnie (czyli np. kierunki uwzględniające przedmioty chętniej wybierane na maturze przez przyszłych studentów, jak język angielski). Jednocześnie uczelnie prywatne podążały za trendami i oferowały kierunki cieszące się popularnością (np. turystyka, administracja), albo trudno osiągalne na uczelniach publicznych ze względu na dodatkowe egzaminy kwalifikacyjne o bardzo wysokim stopniu trudności (np. grafika czy architektura). Ale to był dopiero początek zmian...

Utarło się myślenie, że liceum oraz studia gwarantują pewniejszy sukces, więc rodzicom coraz bardziej zależało, żeby ich dziecko koniecznie skończyło edukację na stopniu przynajmniej licencjata

Edukacja jak biznes

Nowością nie było tylko poczucie powszechnej konieczności posiadania dyplomu, ale stopniowa zmiana priorytetów systemu edukacji. Obrano bardziej biznesową perspektywę. Uczelnie wyższe przestawały liczyć się jako świątynie wiedzy, a wartość kierunków zaczęto przeliczać na opłacalność zawodów, do których teoretycznie był przygotowany absolwent. Nikogo nie interesowały zainteresowania maturzysty. Nie musiał ich mieć. Mniej istotny stał się też program studiów i realny zasób wiedzy absolwenta. Liczyła się przede wszystkim odpowiedź na pytanie: „co ty po tym będziesz robić?". Z tego powodu, bardzo szybko w dyskursie publicznym zaczęto przedstawiać kierunki ścisłe jako mądry wybór, a humanistom wróżyć niskopłatną karierę w barze szybkiej obsługi. Ta prognoza miała swoje korzenie w fakcie, że na rynku pracy niemal każdy miał jakiś dyplom, więc magistrowie zaczęli coraz częściej pojawiać się na mniej lukratywnych stanowiskach. Jednocześnie państwo optymalizowało koszty. Uczelnie dostawały skąpe środki, więc musiały szukać sposobów na dofinansowanie. Wiele kierunków, zwłaszcza te, z których dużo studentów odchodziło po roku, zaczęło zwiększać liczbę miejsc przyjmowanych kandydatów. Powszechnym rozwiązaniem stały się studia „wieczorowe", na których liczba wolnych miejsc nierzadko była dwu- czy nawet trzykrotnie wyższa.

Rachunkowe podejście do uczelni nie pozostało bez odpowiedzi ze strony szkół średnich, w których uznano, że najważniejsze jest przygotowanie maturzystów już pod kątem przyszłych studiów. Ranking szkół średnich opierał się przede wszystkim na zdawalności matury, więc zamysł, aby absolwent był ogólnie wykształcony, się przesadnie nie narzucał. W końcu, po co uczniowie mają tracić czas na jakąś biologię czy WOS, skoro nie zdają tego na maturze? Były jednak momenty, kiedy Ministerstwo Edukacji musiało przyznać, że zapędziło się za daleko. Taką decyzją była rezygnacja z obowiązkowej matury z matematyki. Pomimo wysiłków MEN, trudno jest odwrócić skutki tego nieudanego projektu, który okazał się katastrofalny w skutkach. Brak zapotrzebowania na matematyków spowodował, że mniej osób decydowało się na kształcenie w kierunku specjalizacji nauczycielskiej, a to z kolei trwale obniżyło jakość nauczania tego przedmiotu w szkołach.

Uczelnie wyższe przestawały liczyć się jako świątynie wiedzy, a wartość kierunków zaczęto przeliczać na opłacalność zawodów, do których teoretycznie był przygotowany absolwent

Nic dziwnego, że uczniowie zaadaptowali się do tego systemu i już od szkoły średniej chętnie zamykali się do szufladek pod nazwą ukierunkowanie, specjalizacja. W klasie humanistycznej z góry odrzucali to, „co już im się nigdy nie przyda", jak np. biologię czy fizykę, a ci, którzy decydowali się na profil ścisły, wyśmiewali naukę historii czy WOS-u. Instytucje, które sprzyjały coraz większemu okrajaniu wymagań i profilowaniu młodzieży, zmieniły podejście społeczeństwa do nauki. Wiedza przestała się

liczyć jako wartość. Najważniejsze było, żeby mieć wystarczająco dużo punktów, aby prześlizgnąć się dalej.

Student z przymusu

Doszliśmy więc do punktu, w którym każdy młody człowiek, niezależnie od predyspozycji czy planów zawodowych, był popychany przez rodziców i własne ambicje do uzyskania papieru. Jakość edukacji była wartością drugorzędną, bo o ile nadal można było skończyć uczelnie lepsze i gorsze, to najważniejsze było, żeby mieć dyplom uczelni. Skutki tej zmiany społecznej były łatwe do przewidzenia. Któregoś dnia po prostu okazało się, że w Polsce mamy zaskakująco wysoką liczbę osób z wykształceniem wyższym, jednocześnie zanotowano drastyczny spadek liczby osób po szkołach średnich, przygotowujących do zawodu.

Ilość wyparła jakość, bo w przypadku tak masowo podejmowanych studiów na uniwersytetach pojawiło się wielu ludzi, którzy nie byli zanadto zainteresowani wybranymi kierunkami, oprócz – rzecz jasna – papieru. Uczelnie także musiały się dopasować do nowych warunków, gdyż prowadziły zajęcia nie tylko dla grupy osób zainteresowanych daną dziedziną, ale także dla tych z przypadku, którzy w loterii rekrutacji trafili akurat na ten kierunek. Ci drudzy nierzadko zaczynali zdawać sobie dość szybko sprawę, że nie cierpią tego, czego się uczą. Ale jak już mieli za sobą rok czy dwa tej męki na drodze do dyplomu, to nie opłacało się nic zmieniać. Naturalnie profesorowie również musieli dostosować swoje wymagania i program zajęć do pełnego spektrum studentów, których przyszło im uczyć.
Jednak trudno się dziwić, że młodzi ludzie tak tłumnie decydowali się studiować. Osoby szukające zatrudnienia miały w CV wpisane studia, a nieukończenie uczelni mogło oznaczać trudności ze znalezieniem pożądanej biurowej pracy. Ale jeśli ktoś jest doradcą ds. sprzedaży, to czy faktycznie potrzebuje dyplomu np. stosunków międzynarodowych? Nie można nazwać zaskakującym faktu, że wiele osób zaczęło kwestionować sens wyższego wykształcenia, które coraz bardziej traktowano jako wyrzucanie w błoto pieniędzy podatników. Przedmiotem krytyki stało się jednak niesłusznie to, co na uniwersytecie miało być nauczane, a nie to, że wypaczyliśmy system.

Wiedza przestała się liczyć jako wartość. Najważniejsze było, żeby mieć wystarczająco dużo punktów, aby prześlizgnąć się dalej

Photo by Sharon McCutcheon on Unsp

Część kierunków zyskała sobie miano „przyszłościowych", gdyż zagadnienia z nimi związane stały się popularne. Wielu maturzystów słyszy radę, żeby poszli np. na informatykę, ponieważ teraz wszystko robi się online, więc zapotrzebowanie na programistów ocenia się na duże. Tylko że nie da się zrobić specjalisty z przymusu. Tego typu rady to przysłowiowe wylanie dziecka z kąpielą, bo społeczeństwo potrzebuje ludzi o różnych kwalifikacjach. Zresztą już w branży IT można odczuć coraz większą rywalizację. Zwłaszcza teraz, kiedy firmy podejmują decyzję o zwolnieniach pracowników i okazuje się, że wielu informatyków z naszego otoczenia traci pracę, a nową nie tak łatwo znaleźć. Nierzadko muszą się doszkolić, a nawet jeśli pojawi się ogłoszenie o poszukiwanym programiście, to wcale nie ma pewności, że uda im się dostać tę posadę. Poza tym, sporo studentów informatyki rezygnuje z dalszej edukacji po uzyskaniu tytułu inżyniera. W tej branży „papier" nie wystarczy, trzeba być w tym dobrym, trudno bowiem sprostać obecnym wymaganiom rynku, które nawet dla pasjonatów nie są niskie, a co dopiero dla

absolwentów z „przymusu". Zatem wbrew popularnym przekonaniom, ukończenie takiego kierunku niekoniecznie gwarantuje upragnioną stabilizację.

Uczelnie nie są bezużyteczne, także wspomniana przez Borysa Budkę historia jest bardzo potrzebna w społeczeństwie. Jednak uniwersytety to nie są szkoły zawodowe i działają trochę inaczej. Ich absolwenci nabywają szeroki wachlarz umiejętności, które mogą wykorzystać w różnych ścieżkach kariery. Dlatego nie można ich wartości przeliczać na konkretne zawody. O sile uczelni decydują mimo wszystko jej studenci i ich zaangażowanie, ciekawość oraz chęć poszerzania wiedzy na poziomie akademickim. Należy tutaj wziąć pod uwagę fakt, że kształcenie nie kończy się na otrzymaniu dyplomu. Profesorowie uczą studentów podstaw i wyposażają we właściwe kompetencje potrzebne do dalszego rozwoju. Nawet studenci kierunków uważanych za praktyczne, tak jak wspomniana informatyka, ekonomia, inżynieria czy choćby medycyna, żeby być wartościowymi fachowcami, muszą stale się dokształcać. Z tego punktu widzenia, wypełnianie uczelni ludźmi, dla których wyższe wykształcenie jest rozdziałem do zamknięcia w chwili otrzymania dyplomu, faktycznie mija się z celem. Borys Budka ma rację mówiąc, że edukacja wymaga reformy i ograniczenia liczby studentów. Tylko problem leży zupełnie gdzie indziej, niż wskazuje to lider Platformy, pragnący wierzyć, że system działa świetnie, tylko ludzie wybierają złe kierunki. Żadna akademia nie będzie działać dobrze, jeśli będzie stawiać na ilość wypuszczonych absolwentów, a nie na ich jakość.

Absolutnie nie należy tego poczytywać jako wezwania do ograniczenia dostępu do wykształcenia. Wszyscy powinni mieć równe szanse, chodzi o to, żeby nikogo do niczego nie przymuszać. Nie wciskać na siłę studiów komuś, kto wcale ich nie potrzebuje do upragnionej pracy biurowej, albo odnalazłby się lepiej w szkole zawodowej lub kończąc edukację na technikum. Nie produkować dla statystyk armii magistrów kosztem drastycznego obniżania wymagań w akademii, dostosowanych do tego właśnie celu. Promować szkoły zawodowe i dbać o ich równie wysoki poziom. Pomagać młodym wybrać ścieżkę kształcenia dopasowaną do ich osobistych aspiracji oraz możliwości. Jeśli natomiast chodzi o szkoły wyższe, to przede wszystkim należy wzmocnić szacunek do akademickich wartości oraz kompetencji, które powinny stanowić żelazne kryteria otrzymania dyplomu. Tak, żeby dokument poświadczający ukończenie szkoły faktycznie oznaczał specjalistę w danej dziedzinie, a nie certyfikat zaliczenia, kolejnego po studniówce, rytu przejścia. Dobrym rozwiązaniem byłoby także wzbogacenie rekrutacji. Powrót do PRL-owskich egzaminów wstępnych, które odbywałyby się w tym samym czasie na większości uczelni, to rozwiązanie i zbyt radykalne, i nie dostosowane do dynamicznych wymagań współczesnego świata. Politycy czasem spadek motywacji studentów chcą wyeliminować przez kształcenie płatne, ale to sprowadzałoby się do nieakceptowalnego wykluczenia osób z rodzin o mniejszych możliwościach finansowych. Wiele przydatnych rozwiązań funkcjonuje na renomowanych zachodnich uczelniach. Kandydaci ubiegający się o przyjęcie na studia muszą pisać listy motywacyjne (czasami nawet odręcznie właśnie po to, żeby sprawdzić na ile kandydat jest zdeterminowany i świadomy swojego wyboru), prezentować wstępne plany, tematy prac dyplomowych czy CV, a nawet odbywać rozmowy kwalifikacyjne.

O sile uczelni decydują jej studenci i ich zaangażowanie, ciekawość oraz chęć poszerzania wiedzy na poziomie akademickim

Na pewno trzeba przyznać Borysowi Budce rację w jednym - na uczelniach jest wielu ludzi, których kształci się niepotrzebnie. Jednak nie wynika to z wyboru złego kierunku, ale systemu, w którym każdy musi być studentem. Systemu, gdzie wybranie kształcenia zawodowego bądź nieukończenia studiów wiąże się z niesprawiedliwie umniejszającą oceną, niezależnie od posiadanych umiejętności. Tak bardzo chcieliśmy mieć magistrów za wszelką cenę, że odarliśmy uczelnie z ich pierwotnego celu, jakim było poszerzanie horyzontów osób, którym na tym zależało i zrobiliśmy z nich maszynki do masowego produkowania dyplomów. Podobnie jak w przypadku drukowania pieniędzy musiało się to skończyć tym, że papier zaczął pełnić funkcję bardziej dekoracyjną niż praktyczną, a państwu brakuje fachowców z prawdziwego zdarzenia. ●

ANNELIESE MISTEL

Publicystka, orientalistka, z zamiłowania historyczka, absolwentka wydziału orientalistycznego na Uniwersytecie Warszawskim, tytuł magistra japonistyki uzyskała na Uniwersytecie Diderota w Paryżu. Od wielu lat związana z Francją, w której mieszka na stałe od 2017 roku.

WHO ARE YOU WEARING TODAY?

BEATA KRAWIEC

Ekologiczny sposób życia, dokonywanie odpowiednio zrównoważonych decyzji zakupowych i segregowanie śmieci to też swego rodzaju trend, dzięki któremu możemy poczuć mniejsze wyrzuty sumienia z powodu degradacji ekologicznej naszej planety. I poczuć się lepiej w porównaniu z tymi, którzy nie odkryli tej tajemnicy wiary zwanej zmianą klimatu, bo i w ekologii, co trochę przykre, również oceniamy klasowość pewnych zachowań i odmiennych wyborów zakupowych.

Photo by Ilya Iix on Unsplash

„Who are you wearing today?"

To pytanie zadawane było w epoce przed-pandemicznej przez reporterów stacji telewizyjnych obsługujących tzw. red carpet, którzy zwykle na nim kończyli *small talk* z aktorami czy innymi przedstawicielami branży filmowej zmierzającymi do Kodak Theatre na ceremonię rozdania nagród filmowych. Zwyczajowe odpowiedzi na te pytania to kilkoro projektantów z najwyższej półki plus uroczy uśmiech maskujący kilka tygodni przygotowań do wydarzenia o oglądalności równego finałowi Mundialu.

Mamy wiosnę 2021 roku, ceremonie rozdania nagród muzycznych czy filmowych odbywają się online i nie wiem, czy istnieje nadal instytucja reportera, który zadaje gwiazdom to kluczowe dla promocji przemysłu modowego pytanie, ale marzę by znalazła się jedna odważna i publicznie znana osoba, która bez skrępowania na pytanie „Kogo dziś założyłaś?" odpowie – „Mam na sobie dziś włosy Ujgurki, ostrzyżonej w obozie koncentracyjnym w Chinach, czy strój do którego setki kryształów przyszyły nieletnie obywatelki Bangladeszu lub jemeńskie uchodźczynie w Somalii".

Może aktorki, które poza rolami w filmach zajmują się też pomocą humanitarną i przyzwyczaiły opinię publiczną do swojej wrażliwości społecznej i wspierania mniejszości, jak Angelina Jolie czy Tilda Swinton? Ich działania wielokrotnie wskazywały ważne społecznie i zdrowotnie problemy współczesnego świata i zwracały na nie uwagę opinii publicznej. Najwyższy czas, aby ludziom show biznesu naświetlić, jak bardzo negatywny wpływ na środowisko ma przemysł tekstylny i dostrzec fatalne warunki pracy jego wytwórców.

Co jest nie tak z przemysłem tekstylnym?

- Ekstensywny sposób uprawy bawełny wyjaławia glebę oraz wymaga wielkich ilości wody, której – odprowadzonej do pól bawełny – nie starcza na efektywną uprawę roślin spożywczych. Najlepiej widać to na przykładzie Morza Aralskiego, z którego odsalanych wód korzystały pola uprawne w Kazachstanie i Uzbekistanie (największym producencie bawełny na świecie). Od lat 60. XX wieku powierzchnia tego akwenu zmniejszyła się o 4/5. Teren byłego jeziora zajmuje pustynia Aral-kum, której piaski są do tej pory zanieczyszczone

Ekstensywny sposób uprawy bawełny wyjaławia glebę oraz wymaga wielkich ilości wody, której – odprowadzonej do pól bawełny – nie starcza na efektywną uprawę roślin spożywczych

środkami ochrony roślin. Setki tysięcy ludzi było zmuszonych opuścić swoje dotychczasowe miejsce zamieszkania z powodu braku wody pitnej oraz praktycznego zakończenia hodowli i połowów ryb w efekcie zanieczyszczenia jeziora.

- Wszechobecne, bo tanie w produkcji włókna sztuczne. Szacuje się, że ok 1% wyprodukowanych do tej pory ubrań z tworzyw sztucznych zostanie poddany recyklingowi. Pozostałe trafią na wysypiska śmieci, do oceanów, do krajów mniej rozwiniętych, w których nie ma jeszcze technologii pozwalającej na efektywne odzyskanie i wykorzystanie ich w dalszej produkcji. Symptomatyczne jest to, że ponad 120 grantów unijnego programu Horyzont 2020 poświęcono na badania nad rozwojem możliwości odzyskiwania tworzyw sztucznych. Ale jedynym faktycznym rozwiązaniem problemu jest po prostu zmniejszenie czy wręcz powstrzymanie ich produkcji.

- Warunki pracy w fabrykach odzieżowych. Uzależnienie niektórych państw od przemysłu tekstylnego sprawia, że młodzi i bezrobotni ludzie nie mają często innego wyboru niż zatrudnienie się w fabryce odzieży, bo w pozostałe gałęzie przemysłu po prostu nie inwestuje się, nie szkoli się przyszłego personelu i dodatkowo przymyka się oko na skandaliczne warunki bezpieczeństwa i trybu pracy w tych miejscach. Godziny pracy nie zawsze są przestrzegane, a w trakcie przygotowań do nowego „sezonu modowego" nierzadko do pracy zatrudnia się również dzieci, bo tylko w ten sposób można nadążyć z realizacją zamówień.

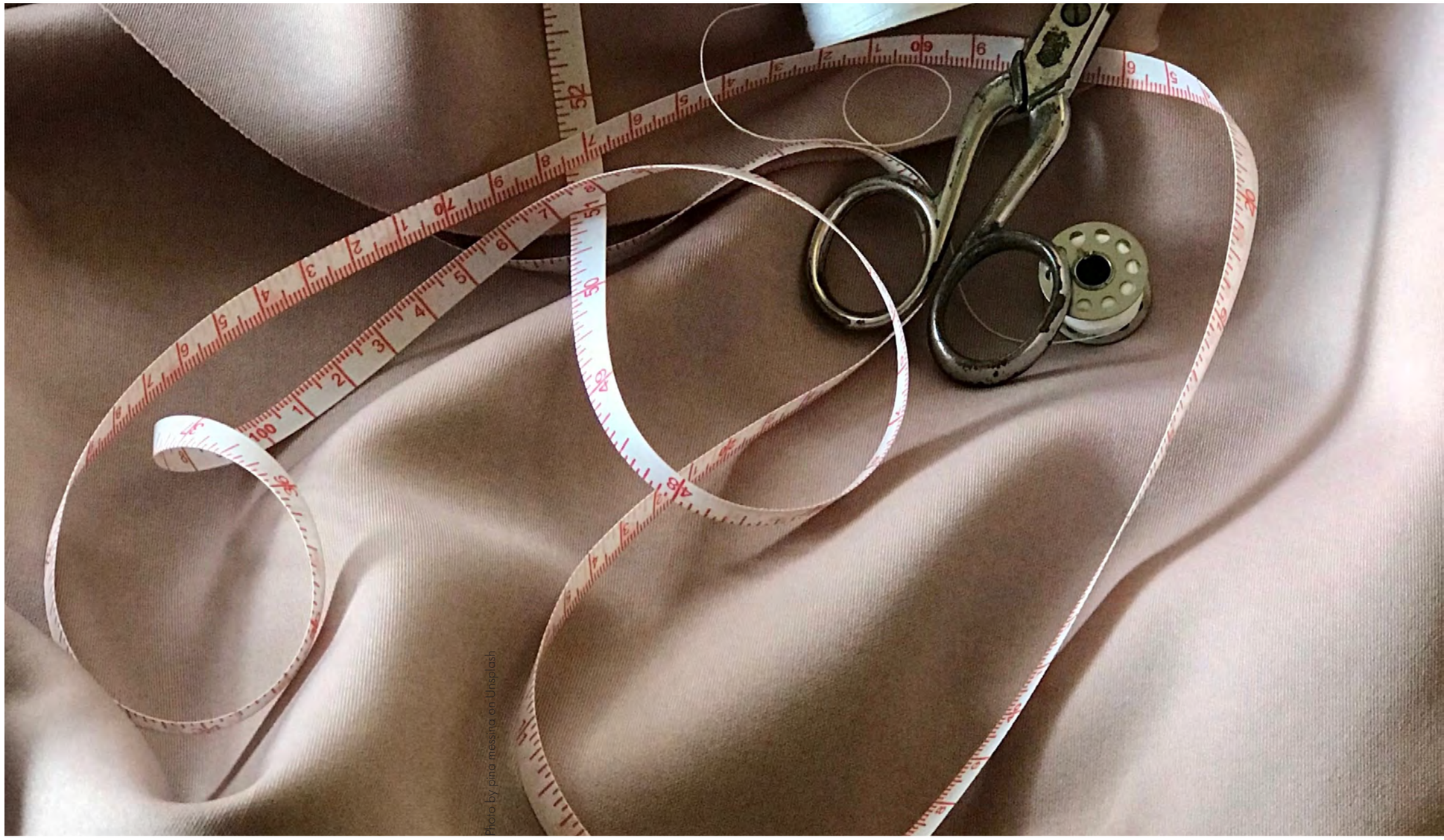

Photo by pina messina on Unsplash

Jeśli nie zadzwonimy na alarm już teraz, to obecne wygodne i tanie dla konsumenta (a przy tym zabójcze dla środowiska naturalnego) *status quo* potrwa jeszcze kilka lat, aż do upowszechnienia świadomości konsumenckiej czy zwiększenia zasobności portfela, które pozwolą na bardziej przemyślane wybory. Znamienne jest to, że na przestrzeni kilku ostatnich lat czołowe marki luksusowe jak Versace, Ralph Lauren czy Armani zdecydowały o zaprzestaniu używania naturalnych futer w swoich kolekcjach, co skutecznie przełożyło się na poszerzenie grona ich klientów, szczególnie w Europie. Wynika z tego, że konsumenci oceniają marki również za

Szacuje się, że ok 1% wyprodukowanych do tej pory ubrań z tworzyw sztucznych zostanie poddany recyklingowi

działanie w obszarze dbania o dobrostan zwierząt oraz CSR i tylko od ich wartościowania zależy, czy cenią je bardziej za zapewnienie bezpiecznych warunków pracy szwaczkom czy za zaprzestanie korzystania z futer.

Wraz ze wzrostem świadomości konsumenckiej zmieniają się nasze nawyki zakupowe, aktualne trendy w modzie trafiają do danej grupy docelowej i dyktują co jest modne, a co nie. Oczywiście wpływ na to, co zobaczymy na ekranach, mają dane które zostawiliśmy w internecie, dzięki którym reklamodawcy podrzucają nam co jakiś czas odpowiednio sprofilowane do naszego stanu konta i zainteresowań nowości, które mniej więcej mogą wpisać się w nasze gusta. Ostateczną decyzję o zakupie podejmujemy osobiście, ale zgrany chór influencerów z mediów społecznościowych, niczym grecki chór, podpowie nam, czy decyzja była trafna i czy za daną bluzę albo buty dostaniemy lajki, którymi mierzymy swoje samopoczucie czy nie. Chór influencerów, często powiązany kontraktami reklamowymi z producentami odzieży, nie opowie nam, w jaki sposób powstaje ubranie, bo może się to okazać tak traumatyczne dla odbiorcy, jak odkrycie jak się robi politykę i kiełbasę.

A może okres pandemii to właśnie najlepszy moment na przyjrzenie się procesowi powstawania naszych ubrań, butów, kreowania trendów? Pandemia pokazała nam, że wielu rzeczy bez których nie wyobrażaliśmy sobie życia przed nią, po prostu nie potrzebujemy. Jak ubrań wieczorowych czy biurowych, bo i instytucje kultury, i kluby nocne zamknięte, a kto ma ten komfort i zamienił biuro na własny salon czy sypialnię raczej nie wkłada garnituru siadając przed laptopem. W kwietniu 2021 roku nie wiemy ile lat lockdownów przed nami i czy w ogóle wrócimy do poprzednich stylów życia i związanych z nimi akcesoriów i uniformów. Skończyły się kompulsywne zakupy w galeriach handlowych, przez niektórych traktowane jako sposób na poprawę humoru czy odreagowaniu stresu. Kto siedzi w domu, ten wyraża się na Instagramie czy Facebooku. Miłośnik śląskości kupi produkty „Gryfnie" czy „Roobens był z Bytomia", bo to mu podpowie algorytm po analizie wcześniej

odwiedzonych stron. Dla wielkomiejskiej weganki ważne będzie, czy w butach, w które zainwestuje, aby na pewno nie będzie elementów, przy których produkcji cierpią zwierzęta. Wielbiciel odzieży patriotycznej i fan prezydenta RP zapewne też ma swoje ulubione marki i jest dla niego szczególnie ważne, aby były one produkowane w Polsce. Zaś zaangażowany działacz z sercem po lewej stronie, który zapamiętał katastrofę w kompleksie

Konsumenci oceniają marki również za działanie w obszarze dbania o dobrostan zwierząt oraz CSR

Rana Plaza w 2013 roku (największą katastrofę budowlaną we współczesnej historii, w której życie straciły tysiące szwaczek szyjących dla międzynarodowych koncernów), przed zakupem sprawdzi, czy producent należy do Ethical Trading Initiative. Każdy z nich tak odmienny w decyzjach, a jakże podobny w sposobie ich podejmowania – pod wpływem podpowiedzi i sponsorowanego kontentu z social mediów. Z większym czy mniejszym poczuciem odpowiedzialności za swoje konsumpcyjne wybory.

Ekologiczny sposób życia, dokonywanie odpowiednio zrównoważonych decyzji zakupowych i segregowanie śmieci to też swego rodzaju trend, dzięki któremu możemy poczuć mniejsze wyrzuty sumienia z powodu degradacji ekologicznej naszej planety. I poczuć się lepiej w porównaniu z tymi, którzy nie odkryli tej tajemnicy wiary zwanej zmianą klimatu, bo i w ekologii, co trochę przykre, również oceniamy klasowość pewnych zachowań i odmiennych wyborów zakupowych. Osobiście uważam to za wielki błąd, bo edukacja ekologiczna nie powinna wykluczać, tylko pozostawać otwarta i pożądanych wyborów cierpliwie uczyć i do nich zachęcać, a nie osądzać czy piętnować skromne początki eko-neofitów.

W moim cyklu o etyce w przemyśle odzieżowym planowane są wywiady z przedstawicielami branży modowej, polskimi podwykonawcami międzynarodowych korporacji, badaczami trendów i członkami stowarzyszeń konsumenckich. Zapraszamy Was do zglobalizowanego świata połączonych gałęzi przemysłu, którego rozwój w znacznym stopniu przyczynia się do degradacji środowiska naturalnego oraz do dyskusji, czy i jakimi środkami chcemy ten proces powstrzymać. ●

BEATA KRAWIEC

Absolwentka europeistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego i XXI. Szkoły Liderów Politycznych, pracowała z Michałem Bonim w Ministerstwie Cyfryzacji i w Parlamencie Europejskim. Dumna ze swojego miasta łodzianka i przekonana Europejka. Mieszka w Brukseli.

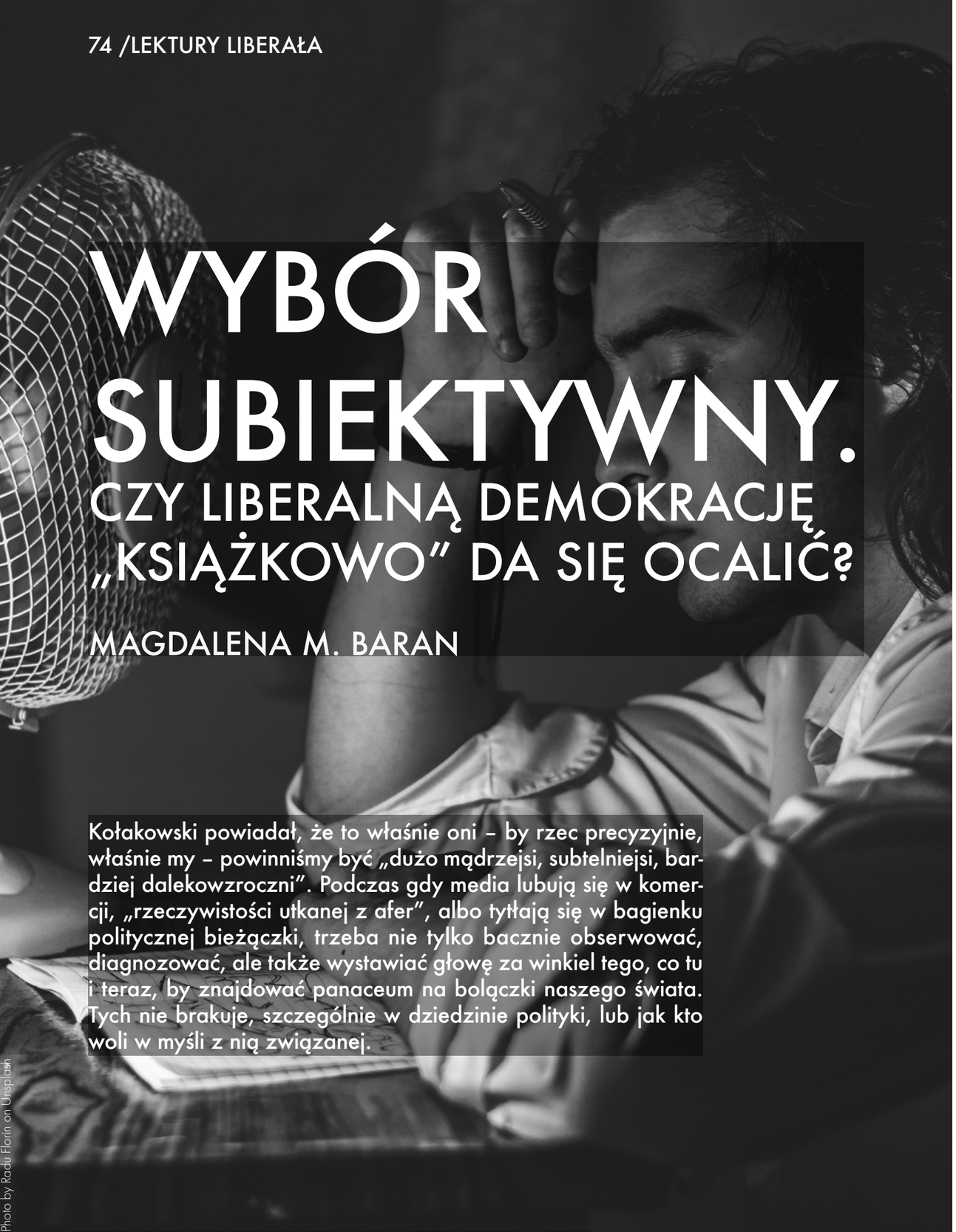

WYBÓR SUBIEKTYWNY.

CZY LIBERALNĄ DEMOKRACJĘ „KSIĄŻKOWO" DA SIĘ OCALIĆ?

MAGDALENA M. BARAN

Kołakowski powiadał, że to właśnie oni – by rzec precyzyjnie, właśnie my – powinniśmy być „dużo mądrzejsi, subtelniejsi, bardziej dalekowzroczni". Podczas gdy media lubują się w komercji, „rzeczywistości utkanej z afer", albo tyłłają się w bagienku politycznej bieżączki, trzeba nie tylko bacznie obserwować, diagnozować, ale także wystawiać głowę za winkiel tego, co tu i teraz, by znajdować panaceum na bolączki naszego świata. Tych nie brakuje, szczególnie w dziedzinie polityki, lub jak kto woli w myśli z nią związanej.

Photo by Radu Florin on Unsplash

„Demony z wydziału polityki mogą być prostaczkami lub nowicjuszami – pisał niezrównany Leszek Kołakowski, dodając dalej, że – Zło tworzone przez tyranów i zdobywców jest zamierzone, łatwo dające się zidentyfikować, a po części nawet wymierne". Owa wymierność zła, jego rozliczalność, możliwość wskazania kolejnych jego przejawów, stała się dziś domeną myślicieli. Kołakowski powiadał, że to właśnie oni – by rzec precyzyjnie, właśnie my – powinniśmy być „dużo mądrzejsi, subtelniejsi, bardziej dalekowzroczni". Podczas gdy media lubują się w komercji, „rzeczywistości utkanej z afer", albo tyłłają się w bagienku politycznej bieżączki, trzeba nie tylko bacznie obserwować, diagnozować, ale także wystawiać głowę za winkiel tego, co tu i teraz, by znajdować panaceum na bolączki naszego świata. Tych nie brakuje, szczególnie w dziedzinie polityki, lub jak kto woli w myśli z nią związanej.

Filozofowie, myśliciele polityczni, historycy i ojcowie idei od wieków łamali sobie głowy (i pióra) nad kondycją państwa, społeczeństwa obywatelstwa czy wspólnoty. W sposób naturalny przykrawali również systemy polityczne (a po części również etyczne, przynajmniej w sensie ich zakotwiczenia w sferze wartości), które służyły ludzkości lub stawały się jej udręką. Nie ma bowiem myśli politycznej, której nie opisaliby z mniejszą czy większą precyzją, nie tylko katalogując, nie tylko wpływając na kształt konkretnych systemów, nie tylko napominając sobie współczesnych, ale również utrwalając ją dla potomnych w formie żywej myśli, a nie sztucznego czy niezrozumiałego tworu. Nie jest bowiem tak, że „czas płynie, a dziecko się bawi". Z tej „zabawy" powstaje historia idei, bez której... ani rusz.

Trudniej bowiem byłoby myśleć o demokracji bez kolejnych jej diagnoz stawianych przez Platona czy Tocquevillowskie *O demokracji w Ameryce*; przyglądać się umowie społecznej (nawet w dzisiejszym kształcie) czy szerzej, państwu, bez Thomasa Hobbesa, Johna Locke'a czy Jeana Jacques'a Rousseau; rozprawiać o wolności bez Benjamina Constanta, Isaiaha Berlina czy Johna Gray'a; zerkać na zagrożenia, jakie niosą autorytaryzmy, pomijając Aldonusa Huxleya, George'a Orwella czy Ernsta Jüngera; rozprawiać o sprawiedliwości bez znajomości Johna Rawlsa z jednej, a Michaela Sandela z drugiej strony. Jest jeszcze William Shakespeare przyglądający się tajnikom władzy... To na początek. Wybór subiektywny, jak to przy lekturach, ale i pewnego rodzaju analizach bywa. Oczywiście każdy ma w tej drużynie swoich faworytów, a tuż obok postawić można kolejnych, którzy bynajmniej nie zasilają tu ławki rezerwowych. Przeciwnie, w dziedzinie idei mamy do czynienia z graczami wielkiego formatu, których (gdyby zaszła konieczność) wolelibyśmy podziwiać w pojedynkach myśli, nie zaś w rozgrywkach drużynowych. Za dużo tu indywidualistów. Ale stop, nie, indywidualistów nigdy za dużo.

Każda epoka ma swoich myślicieli, zaś ich myśl (jakbyśmy nie próbowali polemizować) siłą

rzeczy ogniskuje się na problemach epoki. Bieżączka, powiecie może. Zgoda, ale jednak inaczej. Tu nie ma pośpiechu, nie ma twórczości *ad hoc*. Bo gdyby – za Cyceronem – na nowo pytać: „Jak długo Katylino będziesz nadużywać naszej cierpliwości? Jak długo w swoim szaleństwie będziesz naigrywał są z nas? Do jakich granic będziesz chełpił się swoim zuchwalstwem?", to – biorąc pod uwagę wielowymiarowy wszak obraz politycznego piekiełka – odpowiedzi musimy szukać każdego dnia. W sukurs przychodzą kolejne książki, których autorzy z uwagą pochylają się nad kondycją współczesnej demokracji wskazują drogi jej degeneracji/upadku/czy w najlepszym razie kryzysu, a także szukają (mniej czy bardziej szczęśliwie) dróg wyjścia z impasu, w jakim zdaje się ona trwać.

Nie jest bowiem tak, że „czas płynie, a dziecko się bawi". Z tej „zabawy" powstaje historia idei, bez której... ani rusz

Zanim kryzys... najpierw garść faktów z nieodległej przecież przeszłości. Te z właściwą sobie erudycją serwuje nam Jan-Werner Müller w książce *Przeciw demokracji. Idee polityczne XX wieku w Europie*. Uczymy się... trochę o samych sobie, o demokracji działającej, kształtowanej, wyuczanej, ale nie tylko inspirowanej czystą myślą. Tu wszystko jest żywe, aż pulsuje od polityki, faktów i postaci, które przez cały XX wiek nadawały Europie taki, a nie inny kształt. „Skupię się na figurach działających w tym obszarze «pomiędzy»: politykach-filozofach, prawnikach konstytucyjnych, ciekawych (na pierwszy rzut oka schizofrenicznych) przypadkach «biurokratów z wizją», teoretykach bliskich partiom i ruchom społecznym oraz na grupie, którą Friedrich von Hayek raz nazwał «zawodowymi sprzedawcami używanych idei»" – pisze Müller, niemal na tym samym oddechu dopowiadając, iż ludzie ci bywają istotniejsi od właściwych twórców samych idei, a „popyt na ich usługi szczególnie zwiększył się, gdy wraz z nastaniem «masowej demokracji» pojawiła się potrzeba masowej legitymacji". Pojawiła się zatem szeroka jak nigdy wcześniej potrzeba uzasadnienia, a czasem również wyjaśnienia rzeczywistości politycznej, społecznej czy administracyjnej, która jeszcze przed Wielką Wojną nie była potrzebna (a na pewno już nie na taką skalę). Poza ową legitymizacją jest również konieczność mierzenia się demokracji z kryzysami oraz z nowymi formami, jakie zaczęły przyjmować stare idee. Czy owe postacie, o których mowa, to nowi trybuni ludowi? I tacy się zdarzali, choć nie do końca adekwatna to nazwa. Wizjonerzy? Po części. Bo przecież znajdywali drogę, by owe wizje przemienić w fakty. Budowniczowie? Z pewnością, choć niektóre ze stawianych przez nich „gmachów idei" okazały się koślawe, przemieniały się w więzienia lub fabryki śmierci. „Sprzedawcy użytecznych idei", których katalog otwiera u Müllera postać raczej z pogranicza, Max Weber (bez jego *Etyki protestanckiej* trudniej by było...). Dopiero po jego otwarciu, wskazującym trzy typy prawomocnego panowania, „idealnej" legitymacji, pojawia się niemal kompletny szereg wielkich twórców i burzycieli porządków XX wieku. Ci, których błogosławimy, ci, których przeklinamy, ale i ci, co najmocniej dali nam do myślenia lub pchnęli do

Nowi trybuni ludowi? I tacy się zdarzali, choć nie do końca adekwatna to nazw

konkretnych działań. Wszyscy oni – jak się zdaje – wierzyli (za Davidem Lloydem Georgem), że „społeczeństwo w mniejszym lub większym stopniu przypomina stopiony płynny wosk, na którym można, przy odrobinie siły i determinacji, odcisnąć każdy kształt". Czytamy zatem... Pytanie jednak na co nas ta lektura przygotowuje? Dostajemy przegląd, systemowe uporządkowanie idei oglądanych nie jako „górnolotne i płoche", ale oglądane „przy robocie", wcielone w konkret, żyjące w świecie, którego wymaganiom najzwyczajniej musiały sprostać, a któremu miały przecież nadać kształt.

Ów kształt, postać rzeczy, okazała się wielopoziomowo nieprzemijalna. Bo nawet gdy kolejne dziesięciolecia weryfikują zasadność pewnych działań czy postaw, to sedno myślenia demokratycznego pozostaje bez większych zmian. Od początku XXI wieku mierzymy się bowiem z kolejnymi pytaniami, które wynikają głównie z kondycji, w jakiej znajdują się nasze wspólnoty, społeczności, demokracje, a jakie napotykamy zarówno jako obywatele, jak i jako samodzielne, świadome i myślące jednostki. Gdy idzie o myślenie, o analizę, pojawia się przeto „nowy szereg" tych, co konfrontują idee z rzeczywistością, a przy okazji szukają dróg wyjścia z tego, co od kilku lat powszechnie już określamy mianem „kryzysu demokracji".

Fareed Zakaria (*Przyszłość wolności. Nieliberalna demokracja w Stanach Zjednoczonych i na świecie*) odnosząc się do (jakże znamiennej dla naszych współczesnych diagnoz) prezydentury Donalda Trumpa wskazuje, że między siłami demokracji liberalnej i nieliberalnej toczy się nieustanna walka. Symptomami tej „choroby" ma być nie tylko sposób w jaki (były dziś) prezydent USA „radził" sobie z codziennymi wydarzeniami, ale również jego polityka stanowiąca mieszaninę

„populizmu i reakcjonizmu" czy w końcu, co rusz przypuszczany przezeń, „atak na instytucje, prawa i praktyki demokracji liberalnej". I gdyby popatrzyć na lokalne podwórko to... diagnoza pasuje jak ulał. Aż chciałoby się rzec, że tak umierają demokracje (o czym za chwilę). Tymczasem Zakaria odsyła nas do jeszcze jednego elementu politycznej kuchni, a mianowicie do „świata" niepisanych reguł, które (dziś również łamane) świadczą o kondycji demokracji. Może przy tym łatwiej by było – jak sugeruje w innym miejscu – uznać, że demokracja faktycznie przeszkadza politykom w rządzeniu, szczególnie wówczas, gdy wymusza na nich nieustanne „umizgi" do wyborców, które miałyby „odciągać" polityków od zajmowania się poważnymi sprawami. Może zatem więcej... liberalizmu, gdzie troszczymy się o swoją wolność, a kwestie „rządzenia" zostawiamy w rękach ekspertów? Problem jednak leży w owych ekspertach, w jakości klasy politycznej, zarówno gdy idzie o wiedzę merytoryczną, etykę władzy, jak i o jakość samego przywództwa. Te okazują się być problematyczne choćby dla Marka Lilli (*Koniec liberalizmu jaki znamy*). Ten – jak sam siebie określa – „sfrustrowany amerykański liberał" słusznie przecież diagnozuje, że liberałowie są w defensywie. Gdybyśmy jednak chcieli spodziewać się od niego dróg wyjścia, kreślonych dla każdego liberała jak ziemia długa i szeroka... zawiedziemy się. Przynajmniej w pewnym stopniu. Książka to przede wszystkim (nie pozbawiona zresztą kontrowersji, w które należy włączyć choćby oskarżenia o rasizm) sprzątanie

Photo by Aaron Burden on Unsplash

własnego, amerykańskiego politycznego podwórka, a przede wszystkim „próba sił" w obozie Partii Demokratycznej. Słabość liberalnych polityków zasadza się bowiem na tym, co Lilla określa jako „liberalizm tożsamości". Ten zaś koncentruje na nie na tym co obywateli łączy, a na tym, co ich dzieli (co swoją drogą doskonale znamy z własnego podwórka, gdzie podział na My i Oni już dawno przestał być problemem sporu o „intelektualną miedzę", a zmienił się w dramatyczne rozdarcie, gdzie zadomowiło się pojęcie „obcości", a zakrólowała retoryka „wroga i przyjaciela"). Liberałom, powiada Lilla, brakuje „wyobraźni tego, jak miałby wyglądać nasz podzielany przez wszystkich model życia (...) Liberałowie abdykowali z walki o amerykańską wyobraźnię"... Brzmi jakby znajomo, by nie rzec lustrzanie. Czytając Lillę dostajemy... swego rodzaju sygnał. Bo przecież już samo pytanie jest tym, z którym przychodzi nam się mierzyć tu i teraz, politycznie, partyjnie, intelektualnie. A o odpowiedź, która zadowoliłaby choć część „sceny", wciąż trudno.

Skoro brak odpowiedzi... bywa nią lub też wymusza ją postępujący kryzys. „Bywają takie lata – pisze Yascha Mounk – kiedy zmienia się wszystko naraz. Nowe twarze szturmują polityczną scenę. Wyborcy domagają się rozwiązań, które jeszcze wczoraj były nie do pomyślenia. Napięcia społeczne, które od dawna buzowały pod powierzchnią, nagle wybuchają. System rządów, który zdawał się wiecznotrwały, zaczyna chwiać się w posadach. Właśnie w takiej sytuacji znajdujemy się dziś" (*Lud kontra demokracja. Dlaczego nasza wolność jest w niebezpieczeństwie i jak ją ocalić*). I znów... brzmi znajomo? Zmiany, które poniekąd inspirują Mounka – od wygranej Trumpa, przez dyktatury w Rosji czy Turcji, podnoszącą głowę skrajną prawicę we Francji czy Austrii, zmiany zachodzące w kolejnych europejskich krajach, aż po rujnujących demokrację populistów w Polsce czy na Węgrzech – dokonują się na naszych oczach, a czasem za cichym przyzwoleniem społeczeństwa każdego z tych krajów. Przy każdym z upadków demokracji można bowiem pytać, czy zrobiliśmy dość, aby temu zapobiec. Demokrację przyjęliśmy bowiem niemal za oczywistość. Oczywistości natomiast się nie pilnuje, jej się nie broni, o nią się nie walczy, bo... jakoś się wierzy, że skoro oparła się już tylu zakusom „złego", to za każdym razem jakoś się obroni. Owo „jakoś" jest jednak zwodnicze. Bo co z tego, że niegdyś na coś się politycznie umówiliśmy, że zgodziliśmy się na system, który trzyma się konkretnych, wyznaczonych przez procedury i instytucje ram? Uznaliśmy, iż „po upadku Związku Radzieckiego demokracja liberalna stała się dominującą formą rządów na całym świecie" (a przynajmniej w świecie Zachodu), zawierzywszy Francisowi Fukuyamie upatrywaliśmy w niej „ostatecznej formy rządów". Zgodziliśmy się co do praw, co do pewnych wartości, co do obowiązków, ram, reguł, ale... dziś „kandydaci naruszający fundamentalne zasady demokracji liberalnej zdobywają wielką władzę i wpływy". Fakt. Niektórzy powiedzą, że oto „zwycięża czysty głos ludu", ale to nie to samo, co stanowiąca umowę wola powszechna. Czysty głos ludu nie oznacza pogodzenia wielu interesów, ale rujnującą tyranię większości (nawet jeśli ta ostatnia okazuje się pozorna). Bo przecież problemów nie rozwiązuje się populizmem, realną na nie odpowiedzią nie jest rozdawnictwo czy przemiana w modelowe państwo opiekuńcze; kłopotów demokracji nie rozwiąże się też siłą, która miałaby wskazać ile demokracji, ile osobistej, a ile politycznej wolności „przypada" na każdego obywatela. Dziś stawką nie jest już wytargowanie takich czy innych rozwiązań „wewnątrz" demokratycznego systemu, ale wręcz samo jego istnienie. Istnienie, a nie fasadowość, która miałaby sobą „przykryć" zupełnie inny, demokracji obcy twór.

Mówimy dziś o „demokracji zagrożonej", o (wewnętrznie przecież sprzecznej) „demokracji nieliberalnej", „systemie hybrydowym", o „nowym despotyzmie" czy w końcu o „pragmatycznym autorytaryzmie". Każde z tych określeń stanowi jednak synonim upadku wartości, w które – jako demokraci, jako liberałowie – wierzymy. Bo – jak z kolei piszą Steven Levitsky i Daniel Ziblatt (*Jak umierają demokracje*) – dzisiejsze demokracje umierają na naszych oczach, a dzieje się to często w mało spektakularny sposób. Dzieje się to często „pod parasolem" samej demokracji, bo przecież przy użyciu jej własnych (choćby wyborczych) procedur. Przecież owi nowi przywódcy chcą tylko (*sic!*) „zwrócić demokrację obywatelom" (tak na początek). Następnym pociągnięciem jest... zmiana reguł (demokratycznej) gry. I jak pokazują autorzy, dzieje się tak na całym świecie. I żadna demokracja – choćby nie wiem, jak mocno się trzymała – nie jest w pełni impregnowana na tego rodzaju zagrożenia. Zagrożenia, nie zawsze rozwiązania; te ostatnie, niezależnie czy posuwają się z prędkością ślimaka czy zająca, niosą napotykane dziś u nas konsekwencje. Tymczasem, „jak uczy historia, demokrację można obronić

Wizjonerzy? Po części. Bo przecież znajdywali drogę, by owe wizje przemienić w fakty

Budowniczowie? Z pewnością, choć niektóre ze stawianych przez nich „gmachów idei" okazały się koślawe, przemieniały się w więzienia lub fabryki śmierci

CC by Jeremy Bezanger, Unsplash

wyłącznie metodami demokratycznymi"... I tego musimy się trzymać.

Rzecz jasna lista książek czy myślicieli, którzy pochylają się nad kondycją demokracji, którzy stawiają diagnozy, ale również próbują szukać lekarstwa jest znacznie dłuższa. By uzupełnić warto dodać choćby Nowy despotyzm Johna Kean'a, Tyranię merytokracji Michaela Sandela czy *Dlaczego liberalizm zawiódł?* Patricka J. Deneena. I znów wybór to subiektywny, ale pozwalający na odtworzenie, ale i stworzenie mapy, która pozwala odnaleźć drogę, na której liberalna demokracja ma realną szansę na odnowę. I nie chodzi tylko o to byśmy odpowiednio przeliczyli skalę, czy wybrali trasę omijającą dziury czy bagna. Idzie raczej o to, byśmy byli ich świadomi, byśmy wiedzieli jak się przez nie przeprawiać, jak odpowiadać na pytania innych, którzy znaleźli się na politycznym rozdrożu, byśmy identyfikowali zagrożenia i potrafili stawić im czoła. Bo mapę mamy całkiem niezłą. To nie czasy, gdy na krańcu pisano *Hic sunt leones*. Doskonale znamy te „lwy" czy „smoki"... Nawet jeśli faktycznie nie ma „łąki tak wielkiej, Błoń tak rozległych, żeby się na nich zebrało całe społeczeństwo i przyjrzało się sobie, i nie ma piersi tak gigantycznych, żeby się w nie uderzyć. [Ta] wolność dotyczy nas w życiu prywatnym, ale możemy ją też stracić w życiu zbiorowym, gdy pojawi się mały przywódca o wielkich ambicjach, gdy znowu zobaczymy fałszywego mesjasza" (Adam Zagajewski, *Substancja nieuporządkowana*). A takich na horyzoncie czai się cała masa, a jeden po drugim chętny by objąć schedę... ◉

MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Filozofii i Socjologii Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie. Naukowo zajmuje się problematyką wojny, filozofią polityki i etykami praktycznymi. Autorka książek *Znaczenie wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą* (Liberté! 2018) oraz *Oblicza wojny* (Arbitror 2018). Pracuje nad kolejną książką zatytułowaną *The Tools of War*. Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

MAGIA NA MIARĘ ERY WODNIKA

ALICJA MYŚLIWIEC

Tankując na Orlenie lub omijając go szerokim łukiem, sięgamy do aplikacji z horoskopem i wpatrujemy się w grafiki astrologów-influencerów, czytamy z gwiazd, recept i nagłówków gazet. Pielęgnujemy stany przewlekłych napięć. Szczerze i skrupulatnie zapisuje je już tylko ciało.

Photo by Aldebaran S on Unsplash

Dostałam newsletter. W tytule zawierał nie propozycję, ale nakaz, wezwanie do działania. *PRZYGOTUJ SIEBIE NA PIERWSZE LATO ERY WODNIKA*. Wchodzę w to! Mówiąc – sprawdzam. A świat? Świat nie pomaga. Reguły, które sprawiły, że poruszał się po „bezpiecznej orbicie" bycia najlepszą wersją siebie przestały działać. Dzisiaj każe nam obserwować, jak krwawią hipokryci, bezlitośnie drapiąc altruistów.

When the moon is in the Seventh House
And Jupiter aligns with Mars
Then peace will guide the planets
And love will steer the stars
This is the dawning of the age of Aquarius
Age of Aquarius[1]

Symbolem Ery Wodnika jest postać młodego człowieka wylewającego wodę z dzbana na kulę ziemską. Ryzyko jest spore. Nie zachowując odpowiednich proporcji, może utopić i siebie, i ją. Zanim więc moc Wodnika ujawni się w pełnej krasie, zapnijmy pasy – czeka nas wielki chaos, który zapisuje się w prognozach, żółtych paskach programów informacyjnych, występach Episkopatu i buntach dwulatków, w których tak specjalizujemy się My, ci „oświeceni", bardziej lub mniej liberalni, rzadziej świecący światłem własnym, częściej odbitym, zakochani w obrazie odbijającym się we wstecznym lusterku.

Zrobiło się ponuro. Mimo różnic i podziałów, które stały się drogowskazami na współczesnej mapie tożsamościowej, jesteśmy do siebie podobni. Zadajemy wciąż te same pytania, na które od dawna znamy odpowiedzi. Tankując na Orlenie lub omijając go szerokim łukiem, sięgamy do aplikacji z horoskopem i wpatrujemy się w grafiki astrologów-influencerów, czytamy z gwiazd, recept i nagłówków gazet. Pielęgnujemy stany przewlekłych napięć. Szczerze i skrupulatnie zapisuje je już tylko ciało.

W taki sposób prawdziwa apokalipsa zderza się z naszymi fantazjami na jej temat. Rozpada się świat gestów i rytuałów, szukania siebie w stylu „wolnym" ideologicznie i duchowo, bez formalnych ograniczeń. Robimy prawie wszystko. Unikamy jednego. Wciąż boimy się potraktować rolę własnego kata poważnie i równie poważnie wejść w inną rolę – ofiary. Siła niszczącą tych, którzy boją się końca, oszczędza z nim pogodzonych. To do niej należy Era Wodnika. Ten czas już nie potrzebuje mantr dwutygodniowych lockdownów, które ciągną się jeden za drugim, zamieniając tygodnie w miesiące, a miesiące w lata i przekonania, że „wszystko wróci do normy". Nie wróci, choć tli się w nas ostatnia nadzieja na uratowania świata, którego nie chce się być częścią, ale którego równocześnie nie chce się opuścić.

Nauczyliśmy się żyć,
zanim nauczyliśmy się myśleć

Gdzie jest miejsce na „hokus pokus"? W codzienności. Tam, gdzie znajdujemy czas, aby spojrzeć na nasze rany, nie proponując planu leczenia w trzech krokach. Era Wodnika to czas akceptacji. A „Hokus pokus" to magia zadawania pytań. Codzienna praktyka, która zamienia wiedzę w doświadczenie, nie udzielając odpowiedzi jeden do jednego, ale wskazują kierunek. Wciąż wracam do słów Alberta Camusa – nauczyliśmy się żyć, zanim nauczyliśmy się myśleć. Czas do tego wrócić, pozwalając sobie na to, że bycie może zastępować działanie. Miarą odwagi nie jest już szukanie rozwiązań, ale przyglądanie się apokalipsie, nie mrużąc oczu na niedociągnięcia i codzienne kłamstewka skutecznie zasilające wypracowane przekonania.

Harmony and understanding
Sympathy and trust abounding
No more falsehoods or derisions
Golden living dreams of visions
Mystic crystal revelation
And the mind's true liberation

Więcej o codziennej magii na miarę Ery Wodnika w kolejnej rozmowie z cyklu HOKUS-POKUS na łamach „Liberté!" ●

Link:
[1] https://www.youtube.com/watch?v=BTZArvbmG_o

ALICJA MYŚLIWIEC

Medioznawczymi z wyboru, zawodu i wykształcenia. Teoretyczka i praktyczka. Od lat pozostaje w sformalizowanym związku z Uniwersytetem Jagiellońskim i w związku otwartym z kinem niezależnym (Mastercard OFF CAMERA). Absolwentka dziennikarstwa i komunikacji społecznej, kulturoznawstwa międzynarodowego, gender studies, w końcu studiów doktoranckich z wiedzy o sztuce, doktorantka wiedzy o mediach. Dziennikarka radiowa (Antyradio, RMF Classic, Meloradio) i telewizyjna (TVN). Koneserka przyjemności. Wielbicielka jogi. Właścicielka agencji kreatywnej PR Broker.

Wojciech Sadurski, „Polski kryzys konstytucyjny” w Bibliotece Liberté!

„Prawdziwe, ale (wedle własnych słów Autora) nie neutralne” studium upadku: liberalnego państwa prawa, zakorzeniającego się konstytucjonalizmu, partycypacyjnej demokracji. Ujęcie tematu bardziej filmowe (i to z nawiązaniem do kina akcji, z kamerą umieszczoną „od środka”) niż statyczno- fotograficzny opis zjawisk. Tym książka Wojciecha Sadurskiego, profesora, konstytucjonalisty, publicysty, polemisty i last but not least patrioty, różni się od prawniczych rozpraw do których przywykliśmy (z całym należnym szacunkiem). A swoją drogą toż to gotowy materiał na polityczny thriller w stylu noir (gdyby mieli to nakręcić Amerykanie) albo na satyrę polityczną (jeśli zabraliby się za to Francuzi). Twórcom rodzimym bym nie rekomendowała... Nasz udział w tym dziele już się dokonał.

Ewa Łętowska

Wojciech Sadurski w swej znakomitej pracy opisuje bezprecedensowy proces destrukcji rządów prawa, podejmuje próbę zidentyfikowania składników tego procesu, które zdecydowały o przekształceniu systemu liberalnej demokracji w jej przeciwieństwo- ustrój o coraz wyraźniej rysujących się cechach państwa autorytarnego. Proces niszczenia najważniejszych wsporników państwa prawa począwszy od mechanizmów kontroli konstytucyjności prawa, poprzez sądownictwo powszechne i Sąd Najwyższy, procedury parlamentarne, gwarancje praw podstawowych takich jak wolność słowa, zgromadzeń, ochrona prywatności, jest zjawiskiem wyjątkowym w obszarze Unii Europejskiej. Autor udowadnia, że kryzys rządów prawa ,nawet jeżeli bezpośrednio dotyczy jednego lub kilku państw, musi być traktowany jako zagrożenie fundamentów, na których zbudowana jest cała Unia Europejska, wskazuje też na niewystarczającą skuteczność środków podejmowanych przez instytucje europejskie na rzecz ochrony rządów prawa.

Marek Safjan

PRALIBERAŁ MIESIĄCA

„Praliberał miesiąca” jest rubryką biograficzną. Co miesiąc będziemy na łamach „Liberté!” przywoływać w krótkich notkach postaci aktywnych polityków liberalnych dawnych lat, którzy w swoich czasach i krajach wywarli wpływ na tok debaty publicznej, a dzisiaj już rzadko bywają przywoływani.

KARL VON STREMAYR

Karl von Stremayr był liberalnym politykiem, którego można uznać za pierwowzór dla tych wcale licznych liderów i ekspertów zgromadzonych i dzisiaj wokół europejskich partii liberalnych, którzy nie ideologiczne cele i forsowanie programu własnej partii stawiają na pierwszym miejscu, a pragmatycznie rozumianą misję politycznej poprawy sytuacji w poszczególnych obszarach życia społecznego. I na tym tle niekiedy wchodzą w konflikt z własnym zapleczem, które oczekuje konkretnych korzyści dla partii.

Von Stremayr urodził się w Grazie w 1823 r., w arystokratycznej rodzinie, jako syn wojskowego, pełniącego w armii odpowiedzialną funkcję farmaceuty polowego. Najprawdopodobniej ten społeczny background połączony z liberalnymi poglądami wywołał w nim potrzebę poszukiwania politycznej drogi pośredniej: był zarówno przeciwny niesprawiedliwościom starego absolutyzmu, jak i zachowywał dystans wobec pomysłów grożących wywróceniem wszystkiego do góry nogami. Wolą jego rodziców było, aby nie szedł w ślady ojca po ścieżce wojskowej, z drugiej jednak strony już w okresie studenckim został głową dużego i znamienitego rodu (jako najstarszy syn zmarłego ojca), z czym wiązał się szereg obowiązków i wyzwań natury finansowej.

Karl ukończył studia z zakresu prawa i nauki o państwie na uniwersytecie w rodzinnym mieście w 1845 r., wcześniej odebrawszy gruntowne wykształcenie także w zakresie filozofii klasycznej (był ponadto poliglotą, znającym obok francuskiego, angielskiego i włoskiego, także słoweński i serbsko-chorwacki). Następnie zaliczył cały szereg egzaminów i praktyk aplikanckich do zawodu prokuratora oraz przy sądach. Do polityki po raz pierwszy trafił przypadkiem (miało mu to wejść w krew, bo drugi raz było tak samo). W rozgorączkowanej atmosferze po rewolucji marcowej 1848 r. został wybrany do frankfurckiego Zgromadzenia Narodowego, zupełnie niepytany o zgodę na kandydowanie. Ktoś go zgłosił, ktoś inny rozpowszechnił informację o jego elokwentnych wystąpieniach i rozsądnie umiarkowanych poglądach – i już był deputowanym.
We Frankfurcie dołączył do centrowo-liberalnej frakcji „Württemberger Hof". Do zadań posłowania podszedł ze sporą dozą naiwnej ambicji, dlatego efektem konfrontacji z realiami mogło być tylko głębokie rozczarowanie. Po pierwsze, jego liberalny antyabsolutyzm został poddany testowi w zderzeniu z radykalnymi i rewolucyjnymi postulatami skrajnej lewicy, które był zmuszony ocenić jako „odpowiadanie na nieprawość inną nieprawością, która w dodatku uderzy w tych, którzy żadnej nieprawości nie byli winni". Po drugie, jego idea wyjścia poza spór opcji „małoniemieckiej" z „wielkoniemiecką" w debacie o zjednoczeniu państw niemieckich, zorientowana na wzięcie pod uwagę udziału nieniemieckich regionów Austro-Węgier w nowym państwie na prawach równej reprezentacji parlamentarnej, okazała się political fiction, nie do przyjęcia dla którejkolwiek ze stron. Po trzecie w końcu, o centymetry tylko uniknął śmierci od kuli w czasie zamieszek we wrześniu 1848.

Gdy wiosną 1849 r. austriaccy posłowie zostali wycofani z prac Zgromadzenia Narodowego, wrócił przygnębiony do kraju, aby stawić czoła 12 latom życia w realiach reakcyjnego ładu ustrojowego. Ze względu na udział w parlamencie frankfurckim postrzegany przez prawicę jako wywrotowiec, wiódł do 1861 r. żywot na granicy rodzinnej zapaści finansowej, pracując w charakterze podrzędnego prokuratora, dodatkowo kiepsko ocenianego przez przełożonych (gdyż raz po raz zawodził reakcyjnych szefów, nie wkładając serca w wykonywanie praw nieakceptowanego przezeń ładu ustrojowego).

Sytuacja zmieniła się po częściowej parlamentaryzacji kraju wskutek patentu lutowego w 1861 r. Dla austriackich polityków liberalnych ponownie otworzyła się możliwość działania, a von Stremayr został (znów bezwiednie) wystawiony i wybrany do landtagu Steiermarku. Zajmował się odtąd technicznymi i administracyjnymi ulepszeniami w systemach oświaty, ochrony zdrowia i wsparcia rolnictwa, zdobywając polityczny szlif i nabywając szacunku dla „pracy u podstaw". Po kilku latach, w 1868 r., awansował do rządu centralnego, na stanowisko szefa departamentu w ministerstwie spraw wewnętrznych w okresie wielkich, liberalnych „rządów obywatelskich". W 1870 r. zaś objął kierownictwo resortu oświaty i kultu, które z przerwami prowadził przez 10 lat. Oddelegowany również przez swój landtag do Rady Rzeszy, ostatecznie rozpoczął swój etap politycznej kariery na szczeblu centralnym.

Zasiadał zarówno w gabinetach kierowanych przez polityków liberalnych (Hasner i Auersperg), jak i konserwatywnych (Potocki i Taaffe). Jego ministerialne dzieje są także historią sporów z jego własną partią, Partią Niemieckoliberalną. Liberałowie byli oburzeni udziałem von Stremayra zwłaszcza w gabinecie Potockiego – polskiego konserwatysty i klerykała, który realizował politykę decentralizacyjną (liberałowie w Austro-Węgrzech byli partią centralizacji i upowszechniania we wszystkich regionach kraju kultury i języka niemieckiego, jako nośnika wartości liberalnych, demokratycznych i laickich). Nie udobruchał partyjnych kolegów nawet jego decydujący wkład w wypowiedzenie przez Wiedeń konkordatu, co nastąpiło w reakcji na ogłoszenie dogmatu o nieomylności papieża 15 lat wcześniej, a co von Stremayr przeforsował pomimo protestu samego galicyjskiego premiera. Gdyby rząd Potockiego tak szybko nie upadł, von Stremayr być może zostałby wykluczony z partii, a tak rozeszło się po kościach.

Przez 8 lat urzędowania jako minister w gabinecie Auersperga, von Stremayr wrócił do „pracy u podstaw" nad austriacką oświatą. W 1872 r. doprowadził do likwidacji szeregu religijnych barier na uczelniach wyższych i w świecie nauki. Przyczynił się do rozwoju uniwersytetów w Wiedniu i Pradze

oraz założył uniwersytet w dziś ukraińskich Czerniowcach. Jego polityka miała duże znaczenie w „transferowaniu" zdobyczy oświaty i uniwersytetu z zachodniej do wschodniej Europy. Wielki priorytet nadał udoskonaleniu kadry nauczycielskiej austriackich szkół podstawowych i średnich, przyciągając tam całe zastępy uzdolnionych belfrów z innych państw niemieckich (był to istny drenaż, na który Niemcy reagowali alergicznie), którym nadawał szeroką autonomię w zakresie realizowanego z uczniami programu. Miał przemożny wpływ na rozwój i promocję kultury, wyższego szkolnictwa artystycznego, muzealnictwa i nauki – był fundatorem nagród za prace naukowe, rozwijał i dofinansowywał instytucje odpowiedzialne za wspieranie artystów.

Drugi zawód sprawił swojej partii w kontekście *Kulturkampfu*, który przenikał także do Austrii. Jako minister kultu miał decydujący wpływ na kierunek prawodawstwa, ale choć był antyklerykałem, to jednak na tle epoki jawi się jako prekursor przyjaznego rozdziału państwa od kościołów. Pisał: „Nic nie jest rządowi bardziej obcym niż próba ingerowania w świętą domenę religii i sumienia, (...) ale też żaden świadomy swoich zadań rząd nie może pozwolić na to, aby religię używano do groźnych dla państwa knowań". „Zadaniem rządu nie jest prowadzić wojnę z Kościołem, a uporządkować stosunki tak, aby mogła ona w wolny sposób zarządzać swoimi sprawami, lecz nie wchodziła na pole nietykalnych prerogatyw państwa".

W 1879 r. Karl von Stremayr był krótko „technicznym" premierem austriackiej części monarchii Habsburgów. Przez kolejny rok po raz ostatni pełnił swój ministerialny urząd, tym razem w połączeniu z urzędem ministra sprawiedliwości. W 1880 r. naraził się swojej partii po raz trzeci opowiadając się za wprowadzeniem możliwości korzystania w urzędach w czeskojęzycznych prowincjach państwa z czeskiego, jako pomocniczego języka urzędowego. Widząc, że coraz trudniej mu w polityce działać w zgodzie ze swoimi wartościami, wycofał się z niej i przyjął nominację na urząd II. przewodniczącego Sądu Najwyższego, a potem I. przewodniczącego od 1891 r. W związku z ciężkim podupadnięciem na zdrowiu zakończył swoją publiczną działalność w 1898 r., a zmarł 6 lat później.

Karl von Stremayr został odznaczony wieloma najwyższymi orderami państwowymi, Anton Bruckner poświęcił mu całą symfonię, a wiele miast (w tym Jasło i Bielsko-Biała) nadało honorowe obywatelstwa za zasługi na rzecz rozwoju lokalnego szkolnictwa. Von Stremayr był politykiem „środka", który unikał partyjniactwa. Prezentował się jako polityk umiarkowany i skupiony na polityce „małych kroków", na *Realpolitik*. Zgadzał się z wizją Partii Niemieckoliberalnej, ale jej radykalne postulaty postrzegał jako wykraczające poza granice możliwego, a jasnym dla niego było, że sprowokowanie oporu korony pogrzebie wszelkie nadzieje na najmniejsze nawet zmiany. Był też przekonany, że minister musi służyć państwu i jego dobro mieć na względzie, dlatego odrzucił partyjne okulary i podkreślał na każdym kroku swoją niezależność od struktur partii. ●

„Antropocen dla początkujących" w Bibliotece Liberté!

Prędzej czy później każdy z nas zmuszony będzie zmierzyć się z pytaniem: czy odnajdę w sobie wystarczająco dużo odwagi i roztropności, by zapobiec ziszczeniu się najczarniejszego scenariusza katastrofy ekologicznej?

„Antropocen dla początkujących" to zbiór literacko-reporterskich rozważań o tym, jak kwestie środowiska naturalnego łączą się z zagadnieniami społeczno-politycznymi, gospodarczymi i kulturalnymi. Autor zabiera czytelników w podróż po zmieniającym się świecie epoki człowieka, w sposób wielowymiarowy ukazując skalę wyzwań i problemów, przed jakimi stawia nas postępujący antropocen.

Eseje Juraszka są opowieścią o tym, co bezpowrotnie utraciliśmy, ale również o tym, co wciąż jeszcze zyskać możemy. O zaprzepaszczonych szansach, ale i nadziejach na nowy, lepszy początek.

Ostatni miesiąc na polskim politycznym Twitterze uświadomił użytkownikom, że profesjonalne korzystanie z tego narzędzia to tzw. wyższa szkoła jazdy. Trzeba być niezwykle skupionym, aby wiedzieć, kto jest pod jakim adresem i jakie nicki stosować. Rolę grają niuanse, szczegóły, drobiazgowo stosowane znaki interpunkcyjne. Przykładowo: laikowi mogłoby się wydawać, że **@Porozumienie_** i **@Porozumienie__** to jedno i to samo konto. Tymczasem, jak ostrzega zawczasu @czarkye, nic z tych rzeczy. Nawet jeśli oba Porozumienia należą do Jarosława Gowina, to jednak różnica jest wręcz newralgiczna!

Na politycznym TT nie ma też prostych zależności. Nikt nie docenia nawet nadzwyczajnych wysiłków i rezultatów. Cokolwiek napiszesz, czymkolwiek możesz się pochwalić i tak natychmiast inni sprowadzą cię na ziemię. Wie to już na pewno niedoszła kandydatka na Rzeczniczkę Praw Obywatelskich, **@fijolekmagda**:

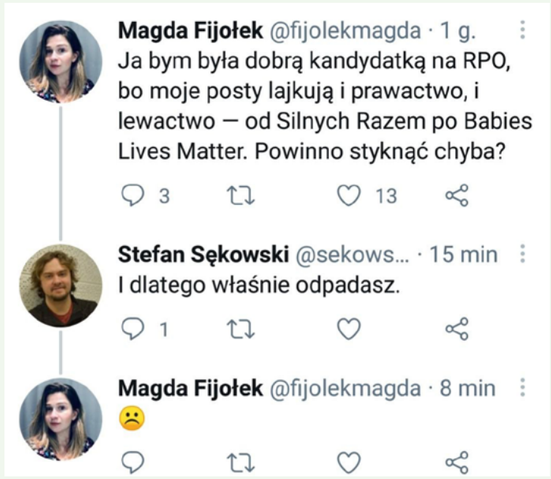

Musicie bowiem wiedzieć, że na politycznym TT nie ma obywateli potrzebujących rzecznika swoich praw. Jesteśmy tak wyszczekani, że każdy sam sobie starcza za całe rzecznikowanie świata.

Czym różni się prawicowiec u władzy od prawicowca bez władzy? Wszystkim, z jednym wyjątkiem. Otóż, jak już wiemy, naczelny promotor hot-dogów w kraju, dar niebios dla Polski, specjalista od „brudnych pał" i „trypla", człowiek wolności, niemal Napoleon, stalker Roberta Kubicy oraz nadredaktor naczelny polskiej prasy regionalnej i przy okazji prezes Orlenu, Daniel Obajtek, jest u władzy i prawie nic nie robiąc zawodowo ma kilkanaście domów w większości regionów w kraju. Największy wysiłek w ostatnich miesiącach sprawiło mu zapewnianie, że gazety, które sobie kupił za cudze pieniądze, pozostaną niezależne i obiektywne. Ledwie wszelkie urzęda zatwierdziły transakcję i klamka w tej sprawie zapadła, a ton się zmienia, co subtelnie zasugerował inny prawicowiec blisko władzy **@PetrosTovmasyan**:

Gazety kupione przez Orlen będą niezależne i obiektywne w tym sensie, że będą pisać rzeczy obiektywnie się Obajtkowi podobające i to niezależnie od jego aktualnego humoru.

Prawicowiec w opozycji ma jednak dużo trudniej. Co prawda z prawicowcem rządzącym bywa że łączy go skłonność do krętactwa, to jednak przynajmniej pracuje naprawdę. W dodatku sytuacja opozycyjna i brak dostępu do konfitur weryfikują rynkowo poziom kwalifikacji, wobec czego czytamy ze zrozumieniem tweet **@Kulesza_pl**:

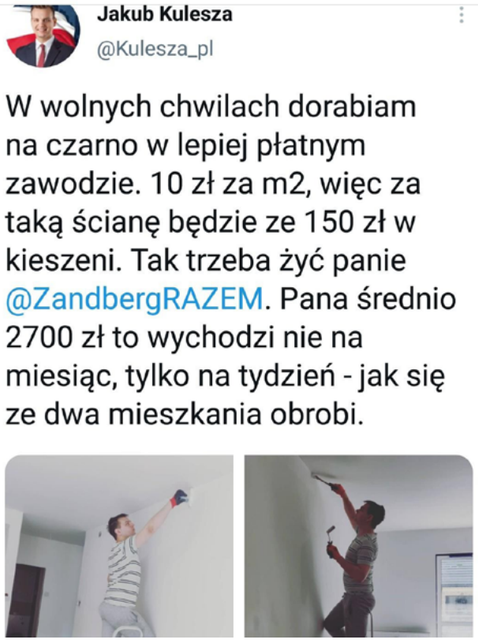

Jednak tematem miesiąca na TT był brutalny atak pandemii i związanych z nią obostrzeń na wolność religijną Polaków. Najbardziej przypominająca zawodnika MMA postać polskiego „życia politycznego" wniosła przykładowo w związku z tym swój oryginalny wkład w plejadę teorii spiskowych o przyczynach „wymyślenia koronawirusa". Pan **@RBakiewicz** napisał:

Tak oto koronawirus został lewakiem. W końcu przecież to kosmopolita!

Gdy obostrzenia zmniejszają frekwencję w kościołach, duchowni z homilią wychodzą na ulicę. W Polsce minęły czasy, gdy na billboardach reklamowano szynki, samochody i blachodachówkę. Dziś reklamuje się już tylko donoszenie ciąży i rezygnowanie z rozwodu choćby wióry leciały. Ta ostatnia kampania pod hasłem „Kochajcie się mamo i tato" niestety zrezygnowała z najfajniejszego projektu plakatu, który wykopał dla nas **@kryztiandk**. Cóż, być może był problem z prawami autorskimi...

Polski rząd stara się załagodzić sytuację i negocjuje między biskupami i koronawirusem jakiś modus vivendi. Realia te kreślą nam **@synczeslawa** i **@JakubBierzynski**:

Kończymy, trochę wbrew sobie, publikując informacje, które dostarczą amunicji foliarskim antyszczepionkowcom. Bo jednak prawda jest najważniejsza, a w dodatku o sprawie donosi **@esmolar**!

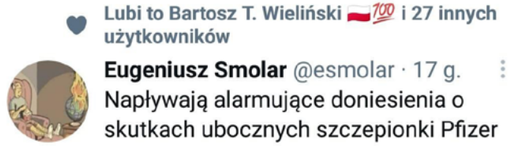

amunicji dostarczał: **@piotr_beniuszys**

TOMASZ MIELCAREK

[WIATR ZAMIENIŁ CZAS W ŻAGIEL]

wiatr zamienił czas w żagiel
i ślizga godziny po mokrych drogach
(ostatni liść odprawia pogrzeb światła)

w miejscu
w które uderzył piorun
wyrosło lustro i bawi się twoim okiem

znajdź mi słowo „świat"
znajdź mi słowo „człowiek"

Photo by Kelly Sikkema on Unsplash

Tomasz Mielcarek (ur. 1974) jest poetą. Jako laureat Nagrody Głównej w konkursie im. Jacka Bierezina (2013) debiutował zbiorem wierszy *Obecność / Presence* (Łódź 2014; na język angielski przeł. David Malcolm), za który otrzymał I nagrodę w konkursie Złotego Środka Poezji im. Artura Fryza (2015). Obecność ukazała się w Bułgarii jako ***Присъствие*** (Sofia 2015, przeł. Łyczezar Seliaszki). Wydał również *Przejazdem* (Łódź 2020). Jego wiersze były również tłumaczone na język białoruski, rosyjski, rumuński i słowacki. Na co dzień pracuje jako terapeuta behawioralny. Mieszka koło Londynu.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości. *Redaguje Rafał Gawin*

REDAKCJA:

Redaktor naczelny:
Leszek Jażdżewski

Redaktor prowadząca miesięcznik Liberté!:
Magdalena M. Baran

Numer ukazuje się dzięki wsparciu czytelników.

Zespół Liberté!:
Piotr Augustyniak
Piotr Beniuszys
Marcin Celiński
Sławomir Drelich
Joanna Ellmann
Marcin Frenkel
Daria Hejwosz-Gromkowska
Sławomir Kalinowski
Tomasz Kamiński
Tomasz Kasprowicz
Joanna Łopat
Magda Melnyk
Alicja Myśliwiec
Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia i współpraca zagraniczna:
Olga Łabendowicz

Koordynacja biura Fundacji, opieka nad liberte.pl:
Joanna Głodek

Redaktor prowadząca liberte.pl:
Magda Melnyk
redakcja@liberte.pl

Koordynacja 6. dzielnicy:
Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:
Lotokot Studio

Korekta:
Piotr Beniuszys

Ilustracje:
- Zdjęcia na licencji CC
- Okładka: Photo by Caleb Steele on Unsplash

WYDAWCA:

Fundacja *Liberté!*
ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

ISSN: 2080-4326

Prezes Zarządu:
Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu
Leszek Jażdżewski